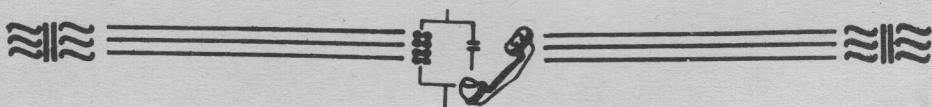




# PRZEGLĄD ŁĄCZNOŚCI

DODATEK LITERACKI Nr 1 (ROK I)



*ANDRZEJ GRABIA-JAŁBRZYKOWSKI*

## OPOWIADANIA Z TRZECH KONTYNETÓW

- |                          |      |    |
|--------------------------|------|----|
| 1. SKARB PANA GONCALVEZA | Str. | 3  |
| 2. KRÓLOWA SZMARAGDÓW    | "    | 9  |
| 3. OSTATNI ŻART BRONIEGO | "    | 15 |
| 4. PALMELO               | "    | 21 |

---

WYDAWNICTWO LITERACKIE ZWIĄZKU ŁĄCZNOŚCIOWCÓW  
ZARZĄD: 24 RANELAGH ROAD, LONDON W5 5RJ ENGLAND

Nakład 500 + 25 egz. Londyn, maj 1981 r.  
Na prawach rękopisu, tylko dla członków Związku

## SKARB PANA GONCALVEZA

Zaczął się od przyjęcia w biurze Transportes Aereos Portugueses przy ulicy Santa Fe w Buenos Aires. Pan Luis Pereira, reprezentant T.A.P. w Argentynie, zaprosił kilunastu przedstawicieli biur podróży na wino z przekąskami, takimi jakimi podaje się pasażerom na jego linii. Ażeby nikt nie miał wątpliwości co do autentyczności doskonałych kanapek na deser wręczono każdemu z gości bilet lotniczy do Lizbony, wraz z zaproszeniem na tygodniowy pobyt w Portugalii.

Już samo przyjęcie miało w sobie coś typowo portugalskiego. Ogromna serdeczność i pańska uprzejmość gospodarza, tak charakterystyczna właśnie dla Portugalczyków, wprowadziła na przyjęciu tę atmosferę, którą się tak długo pamięta i która dominuje nad wspomnieniami z Portugalii tych wszystkich, którzy kiedykolwiek znaleźli się w tym kraju. Zaproszenie przyjąłem z wielką radością. Z wszystkich krajów które poznałem, może właśnie Portugalia zrobiła na mnie największe wrażenie.

x x x

PO RAZ PIERWSZY przyjechałem do Lizbony z Hiszpanii w roku 1941. Był to okres, w którym jak mówiono, rozkopano gdzieś na Kaukazie grób krwiożerczego Tamerlana, aby wyzwolić uwiecznione w nim według legendy złe duchy, które na siedem lat zawładnąć miały światem. Wydawało się jednak, że moc złych duchów ustawała u granic Portugalii. Kraj ten, jego ludzie i klimat wpływały na uchodźców z całej Europy garnących się do Lizbony z nadzieją wydostania się stamtąd do walczącej Anglii czy też do dalekiej Ameryki, aby ratować zagrożone życie, czy odbudować rozbite domy i rodziny. Lizbona była pogodna, uśmiechnięta, łagodna i nadewszystko spokojna. Bardzo spokojna.

Wspaniała i szeroką Avenida de Libertade, przecinającą miasto wśród zieleni trawników i klombów, obstawionych latem stolikami kawiarni, dochodziło się do mozaikowego placu Rossio i dalej przez lśniącą od złota filigranowych okrętów i innych ozdób w wystawach sklepowych ulicę do Ouro, do klasycznego placu Comercio. Plac ten, dawny taras zburzonego przez trzęsienie ziemi w XVIII wieku pałacu królewskiego, otaczała z trzech stron kolumnada jednolitych białych zielonych pałaców.

Czwarty jego bok stanowiła rzeka Tag z kołyszającymi się na niej statkami i łodziami rybaków. Po obu stronach śródmieścia, na stokach wysokich wzgórz, mieniła się w słońcu czerwonymi dachami stara Lizbona z ruinami zamku Świętego Jerzego z jednej, a białymi gotyckimi łukami kościoła Karmelitów z drugiej strony. Gdy zachodziło słońce i zapadał mrok, ruiny zapalały się światłem żółtych reflektorów i Lizbona przybierała wygląd jak z bajki.

W zaułkach starego Barrio Alto budziły się wtedy różne winiarnie, w których przy akompaniamencie gitar rozbrzmiewało rzewne Fado, zawodząca portugalska pieśń, o arabskich elementach, przeważnie sentymentalna a nawet tragiczna w swojej treści, pieśń, która urzekała i przywiązywała do Lizbony, wywołując w duszy jakiś niepokój, który nawet po latach każe tęsknić do tego cudownego miasta.

W dzień spotykało się znajomych w kawiarniach przy doskonałej czarnej kawie i dzieliło się z nimi wiadomościami z oszalałej Europy, albo szło się w górę stromymi, wąskimi i krętymi uliczkami czy schodami do starego miasta, by błądzić wśród ozdobionych kolorowymi kaflami domów, z których okien pełnych kwitnących pelargonii zwisały się sieci sznurów z suszoną bielizną. Dzielnice te pachniały morzem i tu natrafiało się na małe parki i ogrody, zwane Miradores. Leżały one w najwyższych dzielnicach miasta i z nich roztaczał się niezapomniany widok. Pod szafirowym niebem, błyszczącym jak emalia, płynęła w oddali szeroka opalowa rzeka, a u stóp i daleko aż po horyzont rozciągała się cała kolorowa Lizbona z czerwonymi dachami białych domów, poprzecinana zielenią drzew i wieżami kościołów, nad którą królowały ruiny mauretańskiego zamku.

\* \* \*

Z KAWIARNI NAJBARDZIEJ znaną była wówczas, dziś już nie istniejąca Chave de Ouro przy placu Rossio. Tu spotykali się szpiedzy obydwu walczących stron za pośrednictwem mniej ważnych neutralnych kolegów po fachu wymieniali informacje czy dokumenty. Mówiono nawet, że każdy wywiad miał tu dla siebie stale zarezerwowane stoliki i kelnerzy nie pozwalali ich zajmować nie wtajemniczonym czy konkurencyjnym grupom.

Podobnym lokalem był klub nocny Nina, specjalnie upodobany przez najwybitniejsze jednostki obcych wywiadów. Ale jeśli ktoś nie szukał, aż tak silnych wrażeń, miał do dyspozycji cały szereg innych kawiarni, z których wszystkie tętniły dzień i noc życiem, a prawie każda z nich miała jakiś swój

charakter. Tu spotykała się giełda, tam artyści, ówdzie znów niezupełnie poważne panienki, a jeszcze gdzie indziej emerycy, maklerzy okrętowi czy studenci.

Przy rogu Avenida de Libertade i Alexandre Herculano była też mała kawiarnia, zbyt mała i niepokazna na to żeby zyskać jakiś określony „cachet”. Podawano tam doskonałą kawę i zawsze w małej salce czy na niedużym balkonie można było znaleźć wolny stolik. Zachodziłem do niej często, mieszkając przy sąsiedniej ulicy Bramcamp i spędzałem w niej długie chwile, czytając książkę czy pisząc listy. Do kawiarni przychodził starszy dystyngowany pan o siwych włosach, z krótko przyszyżonymi wąsami i spiczastą bródką. Z czasem nawiązała się pomiędzy nami rozmowa, a potem i przyjaźń. Spotykaliśmy się w kawiarni i odbywaliśmy długie spacerunki po Lizbonie.

Pan Alvaro Goncalvez znał w niej każdy zakątek i umiał o nim coś interesującego opowiedzieć. Dzięki niemu poznałem wiele legend związanych z historią Portugalii, a jedna z nich dotyczyła nawet rodziny samego pana Goncalveza.

W połowie XIV wieku władał Portugaliją król Alfons IV. Syn jego i następcą tronu, królewicz Piotr, poślubił w roku 1340 Konstancję, córkę regenta Kastylji. W orszaku ślubnym Konstancji znajdowała się jako dama dworu, jej kuzynka, Inez de Castro, olśniewająca wszystkich swą pięknoscą, a pochodząca z jednej z najbardziej wpływowych podówczas rodzin graniczącej z Portugaliją Galicji. Piotr poślubił Konstancję, ale zakochał się bez pamięci w Inez. Królewiczowa cierpiała bardzo nad swym losem i w pięć lat po ślubie zmarła, jak mówiono z zazdrości. Wówczas Piotr ożenił się potajemnie z Inez de Castro, która w międzyczasie do tego stopnia umocniła swą pozycję w Portugaliji, że dwór królewski w Coimbrze zaczął poważnie obawiać się jej wpływów i w końcu skłonił króla Alfonsa do wyrażenia zgody na pozbawienie jej życia. Jednej nocy, kiedy królewicz przebywał na łowach, do pałacu jego wtargnęło trzech dworzan królewskich i zasztyletowało Inez, która jak wieść głosiła nic nie utraciła ze swej początkowej piękności, pomimo, że od jej przybycia do Portugaliji minęło równo piętnaście lat.

\* \* \*

KRÓLEWICZ PRAWIE oszalał z bólu. Zamknął się na długie miesiące w swej komnacie, nie chcąc nikogo widzieć. Potem wywołał w kraju istną rewolucję skierowaną przeciwko ojcu i dopiero interwencja królowej matki Beatriz położyła kres grożącej wojnie domowej.

W roku 1357 zmarł król Alfons IV i Piotr I wstąpił na tron. Na rozkaz nowego monarchy wyjęto z grobu ciało Inez, przywdziano je w szaty koronacyjne i odbyła się w Coimbrze wstrząsająca scena koronacji obojga królestwa, po której wszyscy dworzanie klęcząc całowali rękę zmarłej. „Widzi pan”, kończył swą opowieść pan Alvaro, „ja właśnie pochodzę w prostej linii od jednego z zabójców Inez de Castro”.

W kilka dni później pan Alvares raz jeszcze wrócił do swej opowieści. Tym razem mówił o dalszych losach swego przodka, który po wstąpieniu na tron króla Piotra schronił się w Hiszpanii, został jednak wydany Piotrowi przez króla Kastylii

lii i skazany na śmierć, ale rodzinie jego, która też popadła w niełaskę, udało się ukryć w okolicach Coimbry duże skarby. Tych skarbów poszukiwała od dłuższego czasu pan Alvaro. Miał w domu jakieś stare dokumenty pisane skomplikowanym szyfrem, przeplatane nieudolnymi rysunkami, które studiował, a które jego zdaniem zawierały klucz do zagadki.

Zbliżało się lato i mój trzymiesięczny pobyt w Lizbonie dobiegał końca. Żegnając w porcie pana Goncalveza, który przyszedł odprowadzić mnie na statek, kiedy odpływałem do Gibraltaru, nie spodziewałem się że jeszcze kiedyś zetknę się z jego historią. Adres jego, jak i tyle innych rzeczy zgubiłem w zawierusze wojny, nie przewidywałem, że wiele jeszcze razy będę wracał do Lizbony, zawsze tak samo spokojnej i wspaniałej, serdecznej i gościnniej.

\* \* \*

OD TEGO CZASU minęło z górą ćwierć wieku. Przemiany jakie przyniosła Europie druga połowa wieku dwudziestego nie ominęły i Lizbony. W centrum miasta wyrosły betonowe drapacze chmur, powstały nowe z amerykańskim rozmachem budowane hotele, widać że turyści odkryli Portugalie. Nad Tagiem przetrzucono ogromny czerwony most, jeden z największych na świecie, przypominający swym wyglądem słynny Golden Gate w San Francisco. Tylko Barrio Alto nie zmieniło swojego oblicza. Nie zmienili się również i sami Portugalczycy.

Transportes Aereos Portugueses mają swój specjalny charakter. Żadna inna ze znanych mi kompanii nie poda pasażerowi przy obiedzie na tacy kwiatów. A ten drobny, pełen elegancji gest, jest jednak tak bardzo portugalski. Również w klasie turystycznej podaje się zawsze przy jedzeniu doskonałe wina. Portugalczycy uważają bowiem, że nie można na samolocie który stanowi teren ich państwa, gościć połowicznie. Piloci TAP'u są godnymi spadkobiercami tradycji żeglarskich okresu manuelińskiego. Ich startów w ogóle się nie odczuwa, a przy lądowaniu trudno odgadnąć moment kiedy koła samolotu dotykają bieżni lotniska.

Kiedy teraz lądowałem na lizbońskim lotnisku i oglądałem szeregi samolotów odrzutowych pochodzących z różnych części świata, odpoczywających na tej nowoczesnej „stacji węzłowej” przed dalszym lotem, przypominałem sobie jak zaledwie 25 lat temu z podziwem spoglądałem w każdy czwartek na lecący aż z Nowego Yorku pasażerski hydroplan „Yankee Cliper” wodował w porcie i z jego kadłuba wysiadało kilkunastu upojonych bohaterskim przeżyciem pasażerów.

\* \* \*

Z LOTNISKA ODWIEZIONO nas do jednego z owych nowopostałych luksusowych hoteli, skąd następnego dnia o świcie wyruszyliśmy wygodnym autobusem na trzydniową wycieczkę po Portugalii. Jesień ma tu ten sam bogaty koloryt co w reszcie Europy. Może tylko intensywny błękit nieba podkreśla jeszcze wyraźniej kontrast ze złotymi liśćmi drzew i czerwono pomarańczowymi winnicami rozciągającymi się na stokach nasłonecznionych wzgórz. Wśród pól kręcą się przy lekkim podmuchu wiatru czarne skrzydła czysto wybielonych wiatraków, a drogami ciągną na grzbietach spokojnie biegnących małych osiołków, mieszkańcy okolicznych osiedli.

Koło południa dojechaliśmy do Golega. Odbywał się tu właśnie doroczny jarmark na konie. Całe miasto obstawione było straganami i najrozmaitszymi stoiskami, tak typowymi dla wszelkich wiejskich odpustów. Rozległy rynek przekształcono w arenę, na której pokazywano konie. Ich właściciele przybrani w regionalne i odświętne tradycyjne stroje lokalnych ziemian objeżdżali je kłusem i galopem, pod wierzch i w zaprzęgach. Ogólną uwagę zwracały grupy młodych i naprawdę bardzo ładnych dziewcząt, które spacerowały po rynku ubrane w bogate i barwne stroje ludowe. Śniadanie zjedliśmy w restauracji specjalnie zmontowanej na podwyższeniu, z którego oglądać można było całe to barwne widowisko i upojeni doskonałym winem ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zapadała już noc, kiedy dojeżdżaliśmy do Tomar. Nie wiem czy przyjazd nasz był z góry tak ułożony, ale trudno było wybrać lepszą porę na wjazd do tego miasta o ulicach tak wąskich, że z trudem przeciskał się przez nie autobus, mając po obu stronach nie więcej niż kilkanaście wolnych centymetrów do ścian domów. Miasto należało w XII wieku do Temelariuszy i tradycja ich do dziś dnia tu żyje.

Na środku rynku stoi pomnik ich wielkiego mistrza Gaulin Pais, który w roku 1160 założył Tomar. Pomnik jego obstawiony jest doniczkami wysokich kwitnących astrów. Na jej górze kwiecia stoi surowy rycerz w zakonnym płaszczu narzuconym na zbroję i dumnie spogląda przed siebie. Cały rynek wraz ze starodawnym kościółkiem jest również obstawiony gęstym rzędem astrów tworzących jakby wielobarwny parkan dookoła całego placu. Nad miastem, na wysokiej i stromej górze jarzą się w świetle pomarańczowych reflektorów potężne mury średniowiecznego zamku Temelariuszy.

\* \* \*

DZIWNE I OWIANE jakąś romantyczną tajemniczością były losy tego zakonu. Po jałmużniczych początkach doszedł w krótkim czasie do wielkich bogactw i znaczenia, że stał się wierzycielem najpotężniejszych monarchów ówczesnej Europy. Tu, w Tomar, w jednym z najwspanialszych swoich zamków, miał rzekomo również przebywać nieszczęsny Jakób de Molay, ostatni wielki mistrz zakonu, spalony na stosie w Paryżu, którego przedśmiertne wyzwanie na sąd Boski, przed upływem dwunastu miesięcy, obydwu jego prześladowców: króla Filipa Pięknego i papieża Klemensa V, tak dokładnie się spełniło.

Była już blisko północ, kiedy wstawaliśmy od doskonałego obiadu w luksusowym hotelu Dos Templarios i z radością przyjęliśmy zaproszenie pełniącego rolę gospodarza dyrektora miejscowej komisji turystycznej na nocną wizytę do zamku. Wyjeżdżając pod stromą górę ku oświetlonym murom zamczyska i potem, kiedy przechodząc pod romańskimi łukami bram wjazdowych, widzieliśmy przeplatujące bezszelestnie nad naszymi głowami nietoperze, nie mogliśmy oprzeć się wrażeniu, że nowoczesny świat przestał istnieć i oto znajdujemy się w domenie potężnych rycerzy zakonnych, sięgających swoimi wpływami do najdalszych zakątków współczesnego im świata. A gdy równo o północy weszliśmy do ośmiokątnego romańskiego prezbiterium zamkowej kaplicy, zdawało nam się że lada chwila z poza filarów wyjdą rzędem sędziwi rycerze i zasiądą w stallach przed stojącym na środku ołtarzem.

Pamięć o Tempelariuszach przetrwała wieki i nadal żyje pomimo katastro-

fy, jaka ich spotkała. Do nich sięga masoneria w poszukiwaniu początków swych tajemnych praktyk, im to skonfiskowane bogactwa pozwoliły Henrykowi Żeglarzowi i innym odkrywcom zapanować na morzach, o nich wreszcie pamięta Tomar kwiecąc ich pomniki i odprawiając nabożeństwa za ich dusze w rocznice ich fundacji.

Niedaleko stamtąd do najbardziej może malowniczej plaży portugalskiej, do Nazare. Jest to mały port rybacki, osłonięty od północy stromą urwistą skałą, na szczycie której leży wioska Sitio. Tutejsza ludność składa się z rybaków, którzy wyjeżdżają na swych barwnych łodziach głęboko w ocean, na dalekie połowy. Gdy zrywa się burza i gwałtowne fale biją o skały Sitio, żony rybaków przywdziewają czarne szaty i wychodzą na plażę. Siadają frontem do wzburzonego oceanu i wycężając wzrok, czekają. Szepczą półgłosem modlitwy i proszą rozsalały żywioł, aby im zwrócił ich najbliższych. Siedzą tak godzinami bez ruchu, w dzień czy w nocy, dopóki na horyzoncie nie ukaże się łódź wracająca z połowu, albo dopóki nie nadejdzie wiadomość, że ta czy owa nigdy już do portu nie powróci.

DO ALCOBACA przyjechaliśmy pod wieczór. W środku miasta stoi tu ogromne opactwo Cystersów sięgające swymi początkami XII wieku, w swoim czasie jedno z najbogatszych w Europie, którego posiadłości obejmowały 44000 hektarów ziemi, 13 miast i trzy porty morskie.

W opactwie mieszkało 999 mnichów, tysięcznym był tytułarnie sam król. Imponująca jest kuchnia opactwa, w której gotowano strawę dla mnichów. Sam piec o trzydziestometrowych kominach ma powierzchnię dużej komnaty, można było piec na nim równocześnie pół tuzina całych wołów. Przez kuchnię przepływa jedna z odnóg rzeki Alcoa, która wpada z szumem do dużego basenu w kącie komnaty i wypływa pod przeciwną ścianą. Basen ten stanowił lodówkę mnichów, którzy w nim chłodzili wina podawane potem do stołu w przyległym mniej imponującym reflektarzu o czterometrowych murach.

Sam kościół, jedna z najpiękniejszych świątyń Portugalii zachwyca swą surowością gotyckiej linii i brakiem jakichkolwiek ozdób czy ornamentów. Stoją w nim w bocznych nawach naprzeciwko siebie i blisko głównego ołtarza tylko dwa bogato rzeźbione białe marmurowe sarkofagi. W jednym z nich leży król Piotr I a w drugim Inez de Castro. Sarkofagi na życzenie króla są tak ustawione, żeby oboje małżonkowie mogli się podnieść i spojrzeć na siebie, gdy zagrzmią trąby archaniołów wzywające na sąd ostateczny. Obydwa są częściowo zniszczone. W okresie napoleońskim, francuscy żołnierze wybili w nich duże otwory szukając ukrytych skarbów.

Stałem zapatrzony w naprawdę piękne i młodociane oblicze Inez, kiedy postyszałem obok siebie głos oprowadzającego: - „Już tę Donę Inez szczególnie prześladuje zły los” - mówił. - „Nie dalej jak kilkanaście lat temu znowu ktoś rozbił jej grobowiec i włamał się do wnętrza”. - „I czy wiadomo kto to był?” - zapytałem zaintrygowany. - „Jakiś starszy człowiek w ciemnych okularach i ze spiczastą brodką. Widziano go, jak kręcił się po opactwie poprzedniego wieczoru, ale nikt nie przypuszczał, że miał jakieś złe intencje. Kiedy rano otwarto bramy nie było już po nim śladu, zastaliśmy tylko ponownie wybitą dziurę w grobowcu. Pewnie jakiś wariat!”

Muszę przyznać, że wiadomość ta zrobiła na mnie duże wrażenie.

## KRÓLOWA SZMARAGDÓW

Nieraz pytano się czy Johannesburg mi się podobał. Na to pytanie nie trudno było znaleźć mi odpowiedź. Zdecydowanie ładny nie jest. Ale jest ciekawy. Położony na płaskowyżu około 2000 metrów nad poziomem morza jest podobno największym miastem nie leżącym nad brzegiem jeziora czy rzeki. Otaczają go ogromne żółte góry piasku wydobytego z kopalń złota. Gdyby można zrobić przekrój płaskowyżu na którym leży, natrafionoby w ziemi na labirynt korytarzy przypominający wnętrza kretowiska. Niektóre z nich schodzą nawet poniżej poziomu morza, na głębokości, gdzie tylko czarni górnicy wytrzymują ciężkie warunki pracy przy wydobywaniu złota. Biali nie są na to wystarczająco odporni. W mieście słychać codziennie łoskot podobny do odległego grzmotu, któremu towarzyszy wstrząs ziemi. Pod sufitem kołyszają się żyrandole, a w kredensach brzęczy szkło. To zawalają się podziemne chodniki starych sztolni. Na nowoprzybytych do Johannesburga wywołuje to początkowo silne wrażenie. Ogarnia niepokój. Ale po kilku dniach ludzie przyzwyczajają się do tych wstrząsów i w końcu nie zwracają na nie uwagi. Stają się one jakby częścią johannesburskiego klimatu. Nie wiem czy są gdzieś na świecie burze równie wspaniałe jak w Johannesburgu. Deszcz pada rzadko, a i grzmoty nie są częstym zjawiskiem, ale od czasu do czasu pojawiają się na niebie błyskawice. Wtedy oglądać można widowiska naprawdę fantastyczne. Firmament przecina równocześnie kilka czy nawet kilkanaście błyskawic o najdziwniejszych postrzępionych kształtach, które oświetlają swym blaskiem horyzont ukazując na jego tle sylwetki drapaczy chmur tego miasta złota i otaczające je płaskie góry piasku. Giełda, interesy, pogoń za pieniądzem i trudności wynikające z mieszaniny ras ludności zamieszkującej Johannesburg dominują codzienne życie. Podobno i do tego można się z czasem przyzwyczaić, tak jak się przyzwyczajają do codziennych trzęsień ziemi. Może tak i jest rzeczywiście. Mnie się to jednak nie udało.

Z Johannesburga do Lourenço Marques droga prowadzi prosto na wschód przecina Transvaal, zaczyna o południowy kraniec parku Krugera i granicę Swazilandu, przebiega przez pasmo gór Drakensberg, po czym schodzi ku Oceanowi Indyjskiemu, nad którym leży stolica portugalskiego Mozambiku. Patrząc na mapę wydaje się że nie podobna zbłądzić. Po prostu trzeba jechać prosto przed siebie. Chcąc uniknąć porannego ruchu samochodowego i nie przyjechać do nieznanego mi miasta późną nocą, wyjechałem z Johannesburga przed świtem. Miałem już za sobą kilkadziesiąt kilometrów drogi, kiedy poranna zorza zaróżowiła niebo i w szybę samochodu wpadły pierwsze promienie wynurzającej się z za horyzontu złotej kuli słońca. Fioletowa mgła okrywająca odległe wzgórza zaczęła ustępować zieleni pagórków. prosta brązowa droga przecinająca pusty krajobraz z rzadka tylko ożywiony małymi grupkami niskich drzew i krzaków, prowadziła ku odległemu horyzontowi.

Teren teraz opadał i stawał się bardziej falisty. Pojawiały się fioletowe laski kwitnącej jacarandy i wśród nich wnet zauważyłem mały strumyk sączący się pomiędzy kamieniami, przez który nawet nie położono mostu. Trudno było się domyśleć, że był to początek Olifants River, owej malowniczej Rzeki Słoni, która daleko na północy przecina park Krugera, wzbogacając krajobraz tego ogromnego rezerwatu afrykańskiej fauny. Chciałem jaknajszybciej dotrzeć do podnóża Smoczyc Gó, Drakensbergu, wiedząc że tam nie pójdzie mi już tak łatwo.

Koło południa zobaczyłem na horyzoncie błękitne pasmo górskie. Wzdłuż drogi pojawiły się teraz plantacje pomarańcz, na okolicznych wzgórzach widać było małe murzyńskie wioski o okrągłych, krytych strzechą chatach dookoła których pasło się bydło. Przy drodze rozciągały się bogate boerskie farmy, wykorzystujące żyzną i pełną zieleni dolinę Crocodile River, największego południowego dopływu Limpopo.

Droga, którą jechałem prowadziła do parku Krugera i stanowiła trakt różnych wycieczek i safari. Nad Rzeką Krokodyli, do której dotarłem wczesnym popołudniem przerzucono wąski most z metalowych prętów, zawieszony po dwóch jej brzegach, a napis na tablicy ostrzegał wysiadających z samochodów turystów przed spotkaniem z tymi nieprzyjemnymi płazami. Na przeciwległym brzegu stał duży i nowoczesny hotel z restauracją i każdy przejeżdżający samochód opadała zgraja murzyńskich kelnerów, którzy tańcząc przed autem chcieli w ten sposób zmusić turystów do zatrzymania się na kawę czy śniadanie. I ta niecodzienna reklama spełniała w zupełności swoje zadanie. Nie wyobrażam sobie bowiem, jak można przejechać ten odcinek drogi bez zatrzymania się. Murzyni wskazują ze śmiechem pod koła samochodu tak nieoczekiwanie i ryzykownie, że zycie ich zależy często od kilku centymetrów czy ułamka sekundy.

Byłem właściwie dość zmęczony. Miałem poza sobą jakieś czterysta kilometrów monotonnej drogi, a przed sobą odcinek pnący się serpentynami na Drakensberg. Usiadłem przy stoliku w restauracji i zamówiłem śniadanie. Na sali było kilka osób, przypuszczalnie podobnie jak i ja odpoczywających przed dalszą drogą. Niedaleko ode mnie siedziała przy kawie jakaś starsza pani, o wypłowiałych, ongiś na pewno pofarbowanych na rudo włosach, twarzy ogromnie pomarszczonej i zniszczonej, starająca się pod zbyt jaskrawą szminką i przesadną ilością różu ukryć ósmy już chyba krzyżyk. Ubrana była niedbale, wymięta suknia z narzuconą na nią skórzaną wytartą kurtką dopełniała całości obrazu, który, co tu dużo mówić, przedstawiał się okropnie. W dodatku czułem ciągle na sobie jej spojrzenie. Rezygnowałem już z odpoczynku, po którym sobie tyle obiecywałem i dopijałem moją kawę w zamiarze wyruszenia w dalszą drogę, kiedy moja sąsiadka podniosła się i stanęła przy moim stoliku. - „Czy pan jedzie w kierunku na Komatiport?” zapytała. Podniosłem się może bez zbytniego entuzjizmu; a że droga tam właśnie prowadziła, nie było innego wyjścia jak potwierdzić.

- „Czy mogę się do pana przysiąść?” padło teraz z kolei drugie fatalne pytanie. Poprosiłem, żeby usiadła i zapytałem czy mogę dla niej co zamówić. Zdecydowała się na następną kawę, a ja zauważyłem ze zgrozą, że miała paznokcie pomalowane na kolor ciemno zielony. Upewniwszy się, że mam miejsce w samochodzie poprosiła mnie o podwiezienie jej w góry Drakenbergu, mówiąc że nie ma zamiaru dojechać do samej granicy, ale powie mi po drodze gdzie zechce wysiąść. To ostatnie powiedzenie mnie zaintrygowało. Wiedziałem z mapy, że do granicy

nie ma już większych osiedli, zastanawiałem się, co może robić w górach starsza biała kobieta, podróżująca samotnie. Powiedziałem, że chętnie ją podwiozę. Zapytała mnie czy znam drogę. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jestem w tych stronach po raz pierwszy. - „To pan pewnie i mnie nie zna?” Odrzekłem, że jestem cudzoziemcem i dopiero od roku mieszkam w Afryce. - „No to będzie pan mógł kiedyś powiedzieć, że spotkał pan Królową Szmaragdów” - powiedziała poważnie, a ja gwałtownie zapanowałem nad sobą, żeby nie zrobić głupiej miny. Naprawdę coraz mniej wiedziałem co o tym wszystkim sądzić.

Siedzieliśmy już w samochodzie i wspinaliśmy się serpentynami nad przepaścistymi skałami, kiedy moja pasażerka rozgadała się na dobre. Opowiadała mi o wojnie boerskiej, o walkach z Anglikami, do których jak widziałem nie żywiła wielkiej sympatii. W pewnym momencie zapytała mnie czy znam język afrykański albo niemiecki. Widziałem, że niechętnie mówiła po angielsku wobec czego przeszliśmy na niemiecki, gdyż afrykańskiego nie znałem. Mówiła tym językiem płynnie, ale widać było, że Niemką nie była. Po drodze mijaliśmy pieszych murzynów i murzynki bardzo lichy ubranych, z wielkimi tarczami rozpychającymi im zamiast kolczyków uszy. Kobiety niosły na głowach jakieś zawiniątka czy naczynia, a jedyny ich strój stanowiła krótka spódnica i ozdoby z paciorków, piór czy kości. Widok ten jednak zupełnie nie raził. W tym specjalnym krajobrazie nagość ich wyglądała tak naturalnie, że zupełnie nie zwracała uwagi. Moja towarzysza rozpoznawała plemiona do których należeli murzyni, odróżniając Zulusów od Swazich czy Bantu i tłumacząc mi jakimi mówią narzeczaniami.

Byłem coraz bardziej zadowolony z urozmaicenia mojej podróży. Im więcej wjeżdżaliśmy w góry, tym bardziej opadała temperatura. Czas mijał szybko na opowiadaniach o potyczkach sprzed pół wieku, o zdradach czarnych i krwawych rzeziach w górach, zasadzkach nad przepaściami, które właśnie rozciągały się pod nami. Słońce schylało się już ku widnokręgowi kiedy minęliśmy ostatnią przełęcz i pozostawiliśmy skały poza sobą, znowu wjeżdżając w bardziej żyzną okolicę. Moja towarzysza zapytała mnie teraz czy nie zjechałbym z głównej drogi i nie podwiózłbym jej kilka kilometrów w bok od głównego traktu. Skręciliśmy na południe pojechaliśmy w głąb Swazilandu. Wąska i wyboista droga po kilku kilometrach zaczęła się wic wśród zarośli. Niedługo poczuliśmy w powietrzu dym, niezawodny znak bliskiego osiedla. Za zakrętem ukazała się przed nami mała murzyńska wioska. W środku wsi, wśród chat krytych słomą było coś w rodzaju rynku, a przy nim stał jedyny jako tako zbudowany z kamieni domek, mieszczący miejscowy sklep. Przed nim siedział na pnium drzewa starszy Hindus, otoczony rodziną składającą się z czarnej żony i małych murzyniątek. Z chat w mig wyłoniło się całe plemię i obskoczyło samochód. Na widok mojej towarzyski podniósł się wielki krzyk radości. Hindus, z uszanowaniem składał ręce jak do modlitwy, nisko się kłaniając. Starsza pani wysiadła z samochodu, dziękując mi za podwiezienie i zniknęła w drzwiach sklepu Hindusa, podczas gdy ja manewrowałem na małym placu, żeby zawrócić samochód do powrotnej drogi.

Do granicy miałem już niezbyt daleko. Znalazłem się na punkcie celnym tuż po zachodzie słońca, formalności ograniczyły się do zarejestrowania samochodu po stronie afrykańskiej i pieczętki na paszporcie po stronie portugalskiej.

Od granicy prowadzi do stolicy doskonała autostrada, tak że mogłem teraz nadrobić stracony czas. Zrobiło się już zupełnie ciemno i na horyzoncie ukazała

się łuna płonącego lasu. Pożary takie są czasem bardzo niebezpieczne. Niszczą na dużej przestrzeni las i trawę, płoszą zwierzynę, która może stać się niebezpieczna dla ludzi. Pożar który widziałem nie był jednak tak wielki i po kilku minutach jazdy pozostał już w tyle, a łuna zniknęła w miarę jak droga zaczęła się wic wśród pagórków. Wjechałem teraz w las, po przebyciu którego znalazłem się w murzyńskiej wiosce. Wśród domków paliło się ognisko, słychać było instrument muzyczny w rodzaju mandoliny i monotony śpiew w jakimś murzyńskim narzeczu. Przypomniała mi się taka stara piosenka słyszana przed laty, jak to gdzieś głęboko w Afryce, nad rzeką Limpopo: „Murzyn Jim banjo miał, o Mona!...

Im więcej pił tym ładniej grał, o Mona!...

Raz wypił wódki całą kadź, o Mona! ...

Więc umarł, no i przestał grać, o Mona!...

Piosenka wyglądała równie smętnie i melancholijnie. Minał jeszcze kwadrans i na widnokręgu zaczęły migotać portowe światła Lourenço Marques.

Stolica Mozambiku bardzo różni się od miast Afryki Południowej. Jest żywa, wesoła, o szerokich ulicach pełnych zieleni, z kawiarni i portowych kabaretów dochodzą dźwięki muzyki. Było już po dziewiątej, kiedy znalazłem hotel i garaż. Jego właściciel nie mógł się nadziwić, dlaczego o tej godzinie, kiedy całe miasto właśnie wyjeżdża na spacer, ja chcę oddać mu pod opiekę samochód. Zamiast odpowiedzi zaprowadziłem go do hali i pokazałem to z czego właśnie wysiadłem. Popatrzył, krzyknął na kilku murzynów i kazał natychmiast zaprowadzić auto pod pompę i przyprowadzić do przyzwoitego wyglądu.

Po kilku dniach w Mozambiku, załatwiwszy swoje sprawy, ruszyłem w powrotną drogę. Znowu zatrzymałem się w hotelu nad Rzeką Krokodyli, ale mojej znajomej już tam nie zastałem, Późnym wieczorem dojechałem do Johannesburga.

W tydzień po powrocie z Lourenço Marques wybrałem się z kilkoma znajomymi na niedzielne tańce murzyńskie na jednej z kopalń złota. Widowiska takie urządzą czarni górnicy raz na tydzień. Stanowią one jedyną rozrywkę tych kilkuset czy czasem kilku tysięcy czarnych, podzielonych na współzawodniczące ze sobą zespoły, mieszkających na terenie kopalni poza obręb której nie wolno im się wydalać przez czas trwania podpisanego kontraktu. Mają oni na miejscu swoje sklepy, w których zaopatrują się w najpotrzebniejsze rzeczy. Wydatków jednak właściwie nie mają żadnych, tak że zaoszczędzone przez okres kilkuletniego kontraktu pieniądze, kupują sobie bydło i żonę i spokojnie spędzają w rodzinnej wsi resztę życia. Płacą tylko podatki na rzecz swoich bajecznie bogatych kacyków plemiennych, którzy co roku kupują sobie najnowsze modele amerykańskich samochodów, a synów swoich wysyłają do Oxfordu czy Harvardu na studia.

Na widowisko składają się tańce wykonane przy akompaniamencie murzyńskich instrumentów muzycznych, a więc bębnów i pewnego rodzaju cymbałów, których klawisze zastępują różnej długości i grubości pręty bambusowe. Murzyni tańczą poubierani w najbardziej malownicze stroje ze skóry, piór i kolorowych materiałów, a taniec ich o niesłychanym wyczuciu rytmu i przedziwnej sprawności obrazuje wojnę, polowanie i grę zmysłów. Wydaje się, że ten ostatni temat stanowi dla tańczących namiastkę tej strony życia, której brak niewątpliwie odczuwają bardzo w swoim długotrwałym skoszarowaniu. Wspaniale wygląda taka malowni-

cza grupa kilkudziesięciu tancerzy uzbrojonych w tarcze i dzidy, mająca rytm w krwi i wykonywująca w takt muzyki zwroty i karkołomne skoki. Od czasu do czasu uderzają tarczami o ziemię tak sprawnie, że ma się wrażenie jednego krótkiego trzasku, po którym znów następuje gwałtowny skok i zwrot w powietrzu, aby natychmiast potem stanąć jak skamieniały w bezruchu tworząc idealnie uformowany szyk bojowy, i przepuszczając kilka taktów muzyki powrócić do opętanego tańca.

Z prawdziwą radością zobaczyłem wśród publiczności doktora Reisenera. Znałem go prawie od samego początku mojego pobytu w Afryce i jemu zawdzięczałem znajomość wielu anegdot i historii związanych z tą częścią czarnego kontynentu. Doktor Reisener nie tylko znał mnóstwo ludzi i anegdot, ale sam był bohaterem jednej z nich, którą kilkakrotnie opowiadano mi w Johannesburgu.

W latach dwudziestych mieszkał w Bulawayo, stolicy północnej Rodezji. Miasto to było wtedy o wiele mniejsze od dzisiejszego, a doktor Reisener był szczęśliwym posiadaczem otwartego i bardzo jak na ówczesne czasy nowoczesnego samochodu, którym często wyjeżdżał za miasto. Kiedy jednego wieczoru wracał do miasta, z lasku na przedmieściu wyskoczyła spłoszona lwica i jednym sussem znalazła się na samochodzie doktora Reisenera, grzęznąc za tylnim kołem zapasowym w takiej pozycji, że nie mogła stamtąd wyrwać z powrotem na wolność. Reisener ogarnęło przerażenie, dające się napewno porównać tylko z przerażeniem samej lwicy. Zrozumiał, że nic mu nie grozi tak długo, jak długo może szybko jechać i pęd samochodu wgniała zwierzę w pułapkę w której się znalazło. Pędził więc jak oszalały do miasta i znalazłszy się w centrum nie zwalniając ani na chwilę, zaczął krążyć dookoła centralnego placu, krzycząc do przechodniów, żeby zastrzelili jego pasażera. Widowisko musiało być wspaniałe. Reisener krzyczał, lew ryczała, a ludzie na ulicy, przekonani że mają do czynienia z jakąś reklamą cyrku, bili brawo i dopingowali niefortunnego kierowcę do dalszych wyczynów. W końcu Reisener, widząc że nie doczeka się pomocy, a nie mając odwagi się zatrzymać, wyskoczył w biegu z samochodu, łamiąc nogę, auto zaś uderzyło w drzewo rosnące na placu. Wstrząs wyzwolił lwicę, która pognęła ulicami miasta, a Reisener stał się bohaterem anegdoty, którą po trzydziestu latach jeszcze powtarzano przy każdej sposobności.

Opowiedziałem Reisenerowi o mojej podróży do Mozambiku i wspomnieniu o spotkaniu nad Crocodile River.

„Co pan mówi - dziwił się doktor - To niesłychane. Więc stara Andrae jeszcze żyje?” I tak jak oczekiwalem, usłyszałem historię Królowej Szmaragdów.

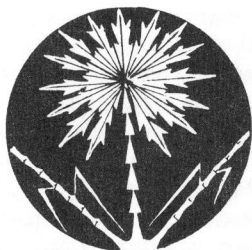
Reisener nie wiedział skąd się wzięła, czy urodziła się w Afryce, czy też przyjechała razem z rodzicami z Europy. Nie wiedział też skąd pochodziła jej rodzina. Mając niecałe dziesięć lat znalazła się z ojcem w kraju Zulusów. Matka jej już chyba wtedy nie żyła. Mała wychowała się wśród mężczyzn w obozach myśliwych, awanturników i boerskich partyzantów na bezbrzeżnych przestrzeniach afrykańskiego veldu. Był to okres zawziętych walk Boerów z Anglikami i o tym właśnie okresie opowiadała mi pani Andrae w górach Drakenbergu. Nie domyślałem się tylko jak dalece te opowiadania były z nią związane. W jednej z potyczek zginął jej ojciec wraz z większością broniących się przed przeważającymi siłami angielskimi Boerów. Mała została sama i byłaby niewątpliwie zginęła z

głodu i pragnienia, gdyby nie było zajęto się nią jakieś czarne plemię, gdzieś w wysokich górach Swazilandu. Na długo słuch o niej zaginął.

W międzyczasie w Afryce Południowej zapanował pokój, prowincje Transwalu, Natalu, Oranii i Przylądka stworzyły Unię Południowo-afrykańską. Przyszły lata dwudzieste i do Jahonnesburga zaczęły docierać wiadomości o znalezieniu w Transwalu kopalń szmaragdów. Mówiono równocześnie o białej kobiecie, która zna tajemnicę tego odkrycia i od czasu do czasu pojawia się w mieście z pełnymi garściami tych ciemno zielonych klejnotów. Sprawą tą zainteresowała się prasa i johannesburski „Star” wysłał do interioru specjalnego korespondenta. Wynikiem jego poszukiwań był dwustronicowy ilustrowany reportaż z afrykańskich złóż szmaragdowych, w którym po raz pierwszy panią Andrae nazwano Królową Szmaragdów. Reporter opisywał plemię którym ta biała kobieta właściwie rządziła, wprowadziwszy wśród murzynów rzadko spotykaną dyscyplinę, ale dbając równocześnie o ich dobrobyt i sprawiedliwie pozwalając im korzystać z dochodów jaki dawał handel szmaragdami. Podziwiał niesłychaną intuicję, jaką kierowała się Królowa w poszukiwaniu szmaragdów. Wiedziała doskonale gdzie kopać, a gdy tylko murzyni znajdowali nowe klejnoty, od razu jak z pod ziemi wyrastała w tym miejscu pani Andrae i sortowała znalezione kwarce. Nikt nie wiedział gdzie stale mieszkała i jak żyła. Pojawiała się i znikwała od czasu do czasu, nigdy nie mówiąc z nikim na osobiste tematy.

Czy znalazła szczęście w takim dziwnym życiu? I tego nikt nie wiedział. Czy jeszcze kiedyś powróci do cywilizacji? Tego też nie sposób było przewidzieć. Ani Reisener ani ja nie umieliśmy wytłumaczyć sobie jej zaniedbania i ubożenia.

A może to właśnie ja byłam ostatnim białym, który widział afrykańską legendarną Królową Szmaragdów?



## OSTATNI ŻART BRONIEGO

Broni mieszkał przez kilka lat w Buenos Aires. Wynajmował przyjemne dwupokojowe mieszkanie w gmachu Safico przy ulicy Corrientes i wiadomo było, że codziennie o godzinie jedenastej przed południem był w domu i oczekiwał wizyt. Miał u siebie całą kolekcję złotych pamiątkowych papierosnic, zegarków, fotografii oprawnych w srebrne ramki, a w szafach wisiały frak, smokingi i żakiet, zrobione przez najlepszych europejskich krawców. Wszystko to nagromadził w czasie swej włóczęgi po eleganckim świecie. Był starym kawalerem i czuł się równie dobrze we Lwowie, we Wiedniu, czy w Londynie. Największą może pasją w jego długim i barwnym życiu było poznawanie ludzi i utrzymywanie z nimi kontaktu. Kiedy zbliżała się godzina jedenasta, Broni zdejmował bindę z krótko przyszytych wąsów, wkładał elegancki szlafrok i zasiadał przy zielonym brydżowym stoliku. Wiedział, że na pewno przyjdzie do niego kilku przyjaciół na pogawędkę, porozmawia z nimi o ostatnich wydarzeniach, opowie którąś ze swoich anegdotek, których posiadał niewyczerpany zapas, dorzuci jakiś dowcip, który nawet jeżeli sam w sobie nieszczerzony, w wersji Broniego nabierze nowego życia, stanie się na pewno zabawny i barwny. Którąś z wizyt na pewno zakończy się zaproszeniem na obiad czy przyjęcie, które zostanie skrupulatnie zanotowane w notesie. Broni był bardzo dokładny i punktualny co do sekundy. Wybierając się z wizytą ubierał się bardzo starannie według wszelkich wymagań etykiety, wkładał twardy słomkowy kapelusz czy czarne „Eden’a” (oczywiście od Lock’a), brał jedną z licznych lasek, których również posiadał całą kolekcję i dzwonił do drzwi w momencie kiedy sekundnik na jego Pateku wskazywał precyzyjnie godzinę, na którą był zaproszony.

A zapraszany bywał często. Jego obecność na przyjęciach, chrzcinach czy coctailach dawała gospodarzom gwarancję, że potrafi rozruszać i wprowadzić miłą nastrój w najbardziej nawet niezgranym towarzystwie. Wiadomo było zawsze, opowie kilka dowcipów, czy to o posiedzeniu Ligi Narodów w deszczowy dzień, po którym do wywoływania nazw luksusowych samochodów odjeżdżających ambasadorów zaplątało się skromne pytanie „Gdzie są kalosze reprezentanta Austrii, doktora Rennera?” czy też o wizycie hrabiego Damskiego u papieża, kiedy Ojciec Święty wyraził swój wielki podziw, gdy hrabia poinformował go, że jego nazwisko pisze się nieortograficznie przez „amb”. Wiadomo było również, że Broni ulegnie prośbom o powtórzenie anegdotki o trzech rabinach, którą na ogólne żądanie musiał opowiadać przy każdej okazji.

Miał niesamowitą wprost pamięć. Zankającym już dziś zwyczajem ludzi starszego pokolenia, umiał bezbłędnie cytować pokrewieństwa całego szeregu europejskich rodzin, a bardzo często, kiedy zgadało się o jakiejś wybitnej osobistości, którą mógł być Aga Khan, czy też któryś z panujących, Broni sięgał do swoich zbiorów, które pieczołowicie przechowywał i wyciągał fotografie, na której figurował w towarzystwie tej właśnie osobistości. Kiedy raz jedna z młodych panien Polek wspomniała przy nim, że uwielbia jedną ze znanych gwiazd filmowych, w parę tygodni później wręczył jej fotografię tej gwiazdy, z odręczną dla niej napisaną dedykacją. Nie tylko bowiem ją znał, ale był z nią po imieniu i napisał do niej, dostał odwrotną pocztą z Hollywood’u fotografię, o którą prosił.

Zył nadal w atmosferze cesarsko-królewskiej Wiednia i może niebardzo pa-



sował do sytuacji w jakiej się znalazł w nowoczesnym Buenos Aires. Umiał wylizować obsadę oficerską bardziej reprezentacyjnych austriackich pułków, a do swoich fachowych wiadomości nawiązywał jeszcze nawet na niektórych tłocznych przyjęciach w Buenos Aires, rozglądając się po salonie i pytając szeptem któregoś ze swoich sąsiadów, ile koni wojskowych wolno było ładować w Austrii do wagonu kolejowego? Oczywiście nikt na to pytanie nie umiał odpowiedzieć, ale Broni i to pamiętał.

Idąc z kimś ulicą, trzymał się zawsze lewej strony swego towarzysza. „To przyzwyczajenie od szabli” - żartował wskazując na swój lewy bok. Pamiętał o wszystkich imieninach i urodzinach, a gdzie należy, znajdowały się zawsze od Broniego kwiaty.

Gdy zaprosiłem raz do siebie sekretarza poselstwa Południowo-afrykańskiego z żoną, nie miałem żadnej wątpliwości, że osobą najbardziej odpowiednią do zaproszenia z nimi będzie Broni. Przyszedł jak zawsze bardzo punktualnie i usiedliśmy rozmawiając w saloniku. Rozmowa zeszała na Indie. Pani Dunn, żona afrykańskiego dyplomaty\*) była córką angielskiego pułkownika z kolonialnej armii imperium. Broni zmarszczył czoło.

„W którym pułku był pani ojciec?” - zapytał. Pani Dunn wymieniła nazwę pułku. „Doskonale wyszedł z opresji po ucieczce tego młodego oficera z córką maharadży” - powiedział. Angielka otworzyła szeroko oczy. - „Ależ tak... Ojciec mi o tym opowiadał, kiedy byłem jeszcze małą dziewczynką. Jakżeż nazywał się ten porucznik?... - „Fergusson...” - podpowiedział Broni - „I był już wtedy kapitanem...” - dorzucił.

Broni nigdy się nie dziwił, nie zadawał krępujących pytań, nie mówił źle o ludziach. O ile kogoś nie lubił, to unikał rozmowy na jego temat. Ale poza stunkami z ludźmi miał jeszcze i inną pasję. Była nią ruleta. Potrafił całymi godzinami siedzieć przy swoim stoliku i studiować sprawozdania wychodzących przy stołach gier numerów, które nadsyłały mu ważniejsze kasyna świata. Broni badał niekończące się kolumny cyfr i szukał systemu, który jego zdaniem musiał istnieć. Był przekonany, że ruleta ma jakąś swoistą duszę i wynalezienie systemu zależy tylko od poznania tej duszy. Zastałem go raz jak zwykle o jedenastej w jego mieszkaniu bardzo zdenerwowanego. Kazał mi natychmiast usiąść i razem z nim wypróbować system, który jak twierdził, już zrozumiał. Rozpoczęliśmy próby w różnych miejscach kolumn cyfrowych i w różnych sprawozdaniach i wyniki były właściwie dość zastanawiające. Rezultat zależał oczywiście od wysokości stawki ale był na ogół pozytywny. Broni był szczęśliwy, że dopiął swego celu.

Minęło od tego czasu wiele lat. Jednego roku Broni spakował kufry i wyjechał do swego Wiednia. Kiedy odprowadziłem go na statek, czułem, że znikało z Buenos Aires coś, czego nie uda się zastąpić. Potem wymieniliśmy kilka listów, aż w końcu nadeszła smutna wiadomość. Stary lokaj Broniego zawiadamił, w myśl zostawionych mu instrukcji, że Broni zmarł i został pochowany w Wiedniu. Zrobiło mi się naprawdę bardzo przykro. Jakoś ciągle wyobrażałem sobie, że go jeszcze kiedyś spotkam i może namówię na opowiadzenie raz jeszcze anegdotki o trzech rabinach. Wróciły mi na myśl owe wizyty o jedenastej, kiedy człowiek zapominał o codziennych kłopotach i przenosił się do świata Broniego, który coraz bardziej oddalał się w miarę jak mijały lata. Na tle tego świata dzisiejsze kłopoty wydawały się tak błahę, że wychodziło się od niego z jakąś nową nadzieją, odetchnąwszy przez te kilka chwil inną atmosferą.

Parę tygodni temu chilijska linia lotnicza LAN zaprosiła kilkunastu agentów turystycznych na tydzień do Miami. Nie wiedziałem, jadąc na lotnisko kim będą moi współtowarzysze podróży, wiedziałem tylko, że grupa nasza będzie składała się z dwunastu osób. Na lotnisku czekała na mnie pierwsza niespodzianka. Odlot samolotu opóźniony o trzy godziny. Zamiast się złościć, wybuchnąłem głośnym śmiechem. Każdy agent, wręczając pasażerowi bilet lotniczy ostrzega go przed ewentualnym spóźnieniem samolotu. Formułka ta, którą prosi się pasażera, żeby nie zapomniał przed wyjazdem na odległe o przeszło 40 kilometrów lotnisko, za telefonować do kompanii i sprawdzić, czy samolot nie ma opóźnienia, należy po prostu do pewnego rodzaju rytuału w agencji. Teraz w poczekalni lotniska nie było żadnego pasażera, ale siedziało rzędem dwunastu ziewających agentów. Nie zabrakło ani jednego z zaproszonych ekspertów od organizowania podróży, ale też i ani jednemu nie przyszło na myśl, żeby przed wyjazdem na lotnisko sprawdzić czas odlotu. Usiadłem obok moich kolegów jako ostatni i rozwiązałem tym samym ich nadzieję, że przynajmniej ja uratuję honor zawodowy. Nasza wspólna radość z powodu tak punktualnego spotkania przełamała pierwsze lody i cała nasza grupa zaczęła żartować i wynajdywać a posteriori powody, dla których odpowiedzialny agent powinien bezwzględnie znaleźć się na lotnisku przynajmniej na trzy godziny przed odlotem samolotu. Było wśród nas kilku moich dawnych przyjaciół, byłych urzędników różnych linii lotniczych, jeden starszy kolega, z którym odbyłem już raz podobną podróż na Bliski Wschód, i młode małżeństwo, odbijające od reszty nieśmiałością i pewnym zażenowaniem, które pozwalało się domyślać, że pracują w jakiejś agencji od niedawna i korzystają z podobnego zaproszenia po raz pierwszy. Pierwszym etapem naszej podróży miało być Santiago. Tu mieliśmy spędzić noc, a kolacja i nocleg w jednym z pierwszorzędnych hoteli stolicy Chile również wchodziły w skład zaproszenia. Zaczęliśmy się z kolei zastanawiać, jak spędzić ten pierwszy wieczór. Największe powodzenie miał pomysł pójścia do kasyna i rozmowa zeszała na ruletę. Mój towarzysz ostatniej podróży znał prawie wszystkie kasyna świata. Próbował nawet szczęścia na niebezpiecznej amerykańskiej rulecie w Reno, wyposażonej w dwa pola zerowe. Kiedy przyszła kolej na mnie przypomniałem sobie Broniego i opowiedziałem o jego systemie. Równocześnie ze zdziwieniem uprzytomniłem sobie, że choć ja też grywałem w kilku kasynach, nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy (na myśl) wypróbować ten system. Kiedy w miarę opowiadania przypomniałem sobie jego szczegóły, postanowiłem skorzystać z okazji i wprowadzić go teraz w Chile. W naszej rozmowie nie brało udziału tylko młode małżeństwo, przysłuchując się naszym wywodom i tylko od czasu do czasu prosząc o dodatkowe wyjaśnienia. Wydawało się że i zapowiadająca się wspólna wizyta w kasynie będzie dla nich nowością.

W końcu przyleciała po nas Caravella i nadszedł czas odlotu. Pogoda była wspaniała, niebo czyste, podróż zapowiadała się doskonale. Miła i typowa dla LAN'u atmosfera, wynikająca z uprzejmości i troskliwości obsługi, oraz cały asortyment cocktailów wprowadziły od razu przyjemny nastrój wśród pasażerów. Czas mijał szybko. Zostawiliśmy za sobą żyzne prowincje Buenos Aires, przelecieliśmy nad górzystą Cordobą i znaleźliśmy się nad płaską i pustynną argentyńską pampą, której bezbrzeżny krajobraz tak wyraźnie odbija się w jej smutnej i melancholijnej muzyce ludowej. W końcu ukazał się przed nami łańcuch górski Prekordylierów,

zapowiadający bliskość Andów. Caravella wzniosła się wyżej i wkrótce znaleźliśmy się nad samymi Andami. Chyba wszystko co mógłbym napisać o andyjskim krajobrazie nie odda wrażenia, jakie on wywołuje. Wśród wysokich szczytów pokrytych dużymi płaszczyznami śniegu, wiją się strumienie i nieliczne drogi. Roślinności prawie żadnej nie widać, ale koloryt wspaniały. Góry mienia się różnymi barwami w promieniach zachodzącego słońca. Są fioletowe, szafirowe, brązowe, czasem wpadają w kolor ciemnoczerwony. Wśród tego bogactwa odcieni odbijają ostrym kontrastem płaszczyzny białego lub niebieskiego śniegu. Na horyzoncie rysują się dawno już wygasłe wulkany, a wśród nich groźna Aconcagua o stromych ścianach, najwyższy szczyt Andów i obu Ameryk. Słońce zbliża się już do horyzontu i pogrąża coraz to nowe stoki w cieniu. Kolory znikają, matowieją, żółta kula słońca błędnie, już tylko połyskuje same szczyty, przełęczące okrywa zupełny mrok. Wkrótce i ze szczytów zostają tylko same sylwetki, rysujące się na tle szafirowego nieba. Samolot obniża lot, w oddali błyszczą ciemna tafla Pacyfiku. Zataczamy teraz ogromny krąg i pod nami ukazuje się lotnisko z długą i prostą linią bieżni oświetloną dwoma szeregami liliowych lamp.

Hotel Carrera przyjmuje nas wystawną kolacją. Zarząd stara się przez kuchnię trafić do naszych serc wiedząc, że przez nas z kolei trafi do sumienia naszych zamożnych klientów. Po kolacji wychodzimy na miasto, wsiadamy w taksówki i jedziemy nad morze, do Vina del Mar, znanego i luksusowego chilijskiego letniska. Wita nas przyjemny chłód wieczoru spowodowany lekkim powiewem od strony morza. Jasno oświetlone okna kasyna wabią nielicznych już o tej porze przechodniów spokojnego miasta. Jego wnętrza uderza atmosferą wspólną dla wszystkich kasyn świata. Kryształowe żyrandole, czerwone dywany, ogromne stoły z kręcącymi się ruletami, cisza przerywana tylko szelestem żetonów i dające się od czasu do czasu słyszeć mechaniczne „no va mas”, ubranych w smokingi krupierów, wszystko to wywołuje jakiś dreszcz niepokoju, który udziela się tak namiętym graczom którzy spędzają noce w kasynie, jak i sporadycznym gościom.

W kasynie było już dość dużo osób, grano przy kilku stołach. Nasza grupa się rozdzieliła, część podeszła do dalszych stołów, niektórzy przeszli do sali baccharata. Spróbowałem szczęścia przy jednym ze stołów rulety. Numery wychodziły różnie, bez żadnej tendencji. Spróbowałem zagrać systemem Broniego.

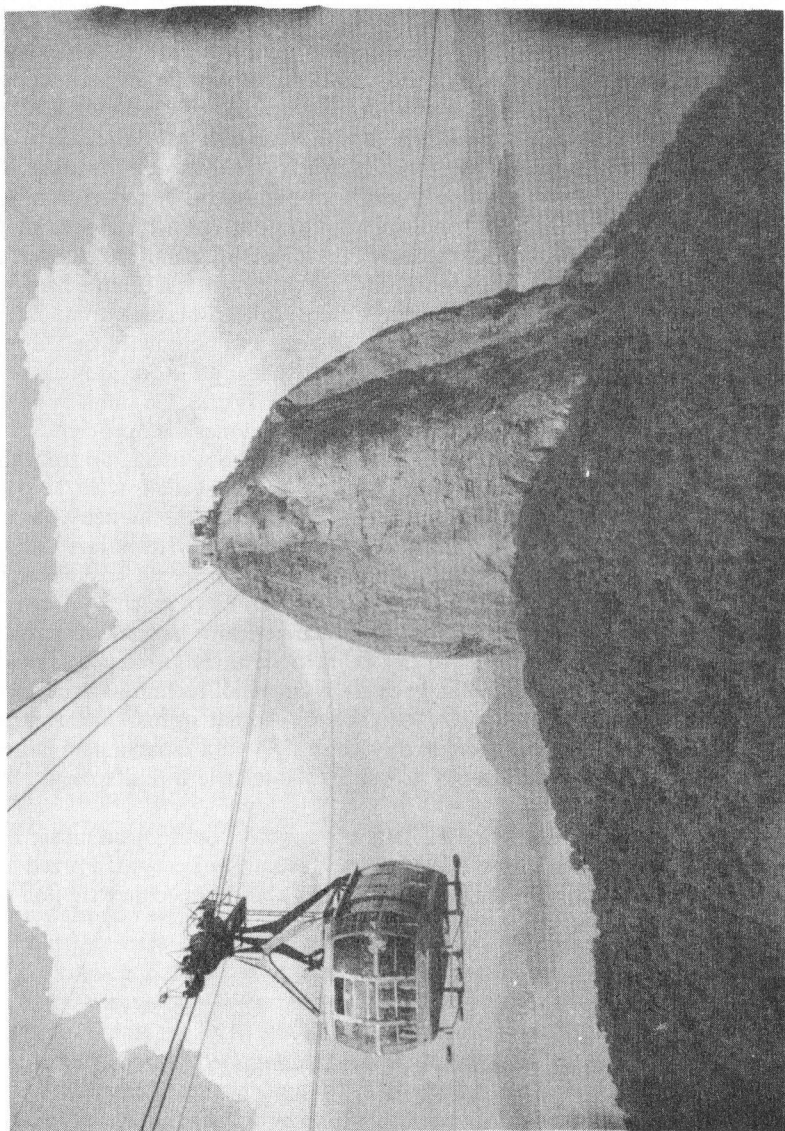
Przegrałem tyle razy ile razy tylko puszczone w ruch ruletę. Trudno było o gorsze rezultaty. Zawążyłem się jednak i postanowiłem nie dać kasynu zarobić. Porzuciłem niefortunny system i zacząłem grać wprost na numery. Dwa czy trzy razy trafiłem całą stawkę, kilka razy udało mi się trafić na linie czy kwadraty i tak po kilku godzinach naprawdę ciężkiej pracy, nie długo przed zamknięciem kasyna powetowałem moje początkowe przegrane i z pełną satysfakcją wróciłem do hotelu. O śnie nie było jednak mowy. Usiadłem w hall'u i zamówiłem herbatę.

Kończyłem przeglądać nagłówki dopiero co przyniesionych dzienników właśnie zaczynającego się dnia, kiedy do hallu weszło nasze młode małżeństwo. Widać było, że byli obydwój bardzo zmęczeni, zdenerwowani i podnieceni. Zbliżyli się do mnie i powiedziałam, że właściwie trzeba by pójść spać, żeby odpocząć przez przynajmniej te kilka godzin, które dzieliły nas od dalszej podróży. Dostałem najbardziej nieoczekiwaną odpowiedź, na skutek której poczułem, że ucieka mi cała krew z twarzy. Moi młodzi i sympatyczni towarzysze zrezygnowali z podróży do Miami i wracali do Buenos Aires.

Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Teraz uświadomiłem sobie, że to właśnie oni na lotnisku w Buenos Aires dopytywali się o szczegóły systemu Broniego. Reszta była jasna... Podobnie jak ja spróbowali systemu i przegrali wszystko. Przeliczyłem w myśli posiadane przy sobie pieniądze. Muszę im pożyczyć przynajmniej tyle żeby mieli na drobne wydatki w dalszej podróży. Przecież przez moje zbyt przekonujące gadulstwo stracili możliwość dalszej, pewnie pośludbnej podróży. Na pewno wiele wysiłku kosztowało ich, jako urzędników jakiejś małej agencji, uzyskać takie zaproszenie, a ja zepsułem im całą przyjemność. Wszystko to przebiegało mi błyskawicznie przez głowę, kiedy jednocześnie myślałem jak sformułować moją propozycję pożyczania im pieniędzy. Nie zdążyłem jednak otworzyć ust, kiedy bardziej rozmowna od męża Beatriz uśmiechnęła się do mnie. - „Widzę, że jest pan bardzo zmęczony i nie zajmimy panu wiele czasu, ale musimy panu coś powiedzieć. Oto pobraliśmy się dwa tygodnie temu z nadzieją, że w najbliższych tygodniach wprowadzimy się do ładnego małego domu, który mieliśmy zadatkowany. Pojutrze - popatrzyła na zegarek i poprawiła się z uśmiechem - jutro mijają ostatni termin wpłacenia dużej sumy, po której domek przechodzi na naszą własność. Szukaliśmy rozpaczliwie pożyczki, ale suma była bardzo poważna. Część jej mogliśmy uzyskać, ale znowu wymagane oprocentowanie miesięczne przekraczało nasze możliwości. Nie było innego wyjścia, jak zrezygnować z domu i stracić wpłacony zadek. Dyrektor naszej agencji, wiedząc o naszym zmartwieniu pozwolił nam skorzystać z zaproszenia LAN'u, żeby nas trochę pocieszyć. Lecieliśmy do Miami, ale naszą podróż tak wspaniała w innych warunkach, zaciemniała myśl, że stracimy tak dużo. Poszliśmy do kasyna i spróbowaliśmy pana systemu. Wygrywaliśmy bez przerwy. Po kilku grach wyniki były tak zachęcające, że zwiększyliśmy stawki. W końcu graliśmy wszystkimi posiadanymi i wygrywaliśmy pieniądze. Koło nas zebrało się duże gości i zaczęliśmy czuć się nieswojo. Nawet nie zauważyliśmy kiedy krupier ogłosił ostatnią grę tego wieczoru. Wymieniliśmy w kasie sztony na sumę, która zapała nam oddech w piersiach. Jutro wracamy do Buenos Aires jako właściciele wymarzonego przez nas domku”.

Wróciłem do pokoju ale długo nie mogłem zasnąć. A potem śni mi się Broni. Siedział w swoim eleganckim szlafroku przy stoliku brydżowym, a przed nim leżał stos papierów zapisanych długimi kolumnami cyfr. Uśmiechnął się pod wąsem i był jakby bardzo z siebie zadowolony.

\*) *Dunn, to ten ambasador Republiki Afryki Południowej, którego porwano w Salwadorze i po którym wszelki słuch zaginął.*



„Głowa Cukrowa” Rio de Janeiro. (Fotogr. Inż. J. W. Juszczyk)

## PALMELO

Czułem się trochę głupio załatwiając ostatnie formalności na lotnisku przed odlotem. Ile razy odlatywałem z Buenos Aires, zawsze patrzyłem jakoś „z góry” na pasażerów lecących tylko do Brazylii. Wydawali mi się jacyś niepoważni, tacy „ubodzy krewni”, którzy wsiadają w samolot nawet nie zdejmując płaszczy, bo przecież zaraz będą musieli znowu wysiadać. Po pojawieniu się samolotów odrzutowych przelot z Buenos Aires do Rio stał się jakimś takim przejazdem lokalnym, prowincjonalnym, o którym nawet nie warto mówić. Żeby czuć się jak najswobodniej, zabrałem tylko ze sobą mały neser do kabiny, nawet płaszcz mimo zimy zostawiłem w domu i sam stanąłem w tej wytworzonej w mojej wyobraźni „drugiej kategorii” pasażerów, którzy wsiadają z samolotu już po głupich 2000 kilometrów. Nawet nie polepszała mojego samopoczucia myśl, że przecież z Rio polecę dalej, w głąb Brazylii, żeby po dość skomplikowanej drodze dotrzeć do Palmelo, małej wioski leżącej w głębi kontynentu, wioski zamieszkałej przez jasnowidzów, media i znachorów-czarodziei.

Palmelo, uważane za jedyne na świecie miasto spirytystów, zyskało ostatnio na skutek odczytów i reportaży w argentyńskiej telewizji duży rozgłos w Buenos Aires i bardzo wielu Argentyńczyków przychodziło do mojej agencji, pytając jak tam można się dostać, względnie nawet z zamiarem zapisania się na zbiorowy wyjazd. Aby znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania moich klientów, postanowiłem sam zobaczyć Palmelo i zorientować się na miejscu w możliwościach transportowych i hotelowych.

Do Rio lecieliśmy około 2 godzin. Przelecieliśmy nad ogromną deltą La Platy, ukazały się na moment pod nami światła Montevideo i po kilkunastu minutach lotu nad Urugwajem znaleźliśmy się nad terytorium brazylijskim. Podano kolację, samolot pokłósał trochę nad zawsze burzliwą zatoką Świętej Katarzyny i wnet ukazały się w oddali światła Rio de Janeiro. Widok ten widziałem już chyba kilkadziesiąt razy, ale za każdym razem śledzę z nosem przyklepionym do okna. Chyba nie ma drugiego miasta tak wspaniale wyglądającego z góry czy to w dzień czy w nocy. Wulkaniczne góry wyrastają wprost z morza, plaże, całe wybrzeże i wyspy upstrzone są światłami miasta. Przelecieliśmy nad Głową Cukrową i Corcovado, widać było dokładnie światła serpentyny prowadzącej na szczyt, do stóp ogromnego posągu Chrystusa i wylądowaliśmy na wyspie Galeao. Pomimo zimy i nocy, Rio przywitało nas 26 stopniami ciepła. Pojechałem od razu do centrum i zatrzymałem się w hotelu przylegającym do drugiego lotniska Santos Dumont, skąd następnego dnia miałem odlecieć w dalszą podróż.

Było jeszcze ciemno, kiedy mnie obudzono. O szóstej podano mi śniadanie ze wspaniałą brazylijską czarną jak smoła kawą i nieodzownym mamao, owocem w rodzaju dyni, do którego ani rusz nie mogę się przekonać. Smak ma niezły, słodkawy i soczysty, ale zapach wywołuje mdłości. Lotnisko oddalone jest od hotelu o jakieś 500 metrów. Mając jeszcze dość dużo czasu, zabrałem mój neser

i poszedłem piechotą. Teraz było już widno, ale słońca nie było. Nad miastem leżała gęsta mgła, przez górę Głowy Cukrowej przewalały się ciężkie czarne chmury. Widać było tylko bliższe góry leżące w samym centrum miasta, oblepione różnokolorowymi domkami murzyńskiej biedoty, owe malownicze ale i groźne „Favelas“, gdzie zbrodnia i czarna magia są na porządku dziennym, a gdzie nawet brazylijska policja nie ma wstępu. Corcovado zasłonięty był chmurami, czasem tylko, gdy wiatr je przeredzał ukazywał się w górze nad miastem Chrystus z rozpostartymi ramionami, jakby zawieszony w powietrzu. Widok był niecodzienny. Wyobrażam sobie, jakie wrażenie musiałyby zrobić na kimś, kto nie wiedziałby, że to stojąca na wysokiej górze posąg.

Na lotnisku podszedłem do kontuaru odpowiedniej kompanii, oddałem bilet i zostałem zawiadomiony, że wnet zostanie zapowiedziany odlot samolotu. Usiadłem w fotelu i pograżyłem się w książce. Za chwilę moją lekturę przerwała zapowiedź rozgłaszająca po całym lotnisku, że Senhor Andres jest przoszony o pofatygowanie się do samolotu odlatującego do Belo Horizonte. Do tego, że Brazylijczycy nie uznają nazwisk i posługują się tylko imionami w stosunku do zupełnie nawet obcych ludzi, byłem już oddawna przyzwyczajony, ale pomimo że tyle razy słyszałem już zapowiedzi odlotów różnych samolotów, takie osobiste zaproszenie stanowiło dla mnie zupełną nowość. Zastanawiałem się, czemu należy przypisać to wyróżnienie. Zagadka wyjaśniła się, kiedy znalazłem się w samolocie. Byłem jego jedynym pasażerem.

O mało co nie ugrzązłem w Belo Horizonte, gdzie miałem przesiąść się z mojego samolotu, lecącego do Brasílii, do drugiego lecącego do Goiania, stolicy prowincji Goias, w której leży Palmelo. Tu dopiero dowiedziałem się, że lot do Goiana został anulowany i przed upływem 48 godzin nie mam dalszego połączenia. Niewiele myśląc, zażądałem przepisanie biletu z Goiania na Brasílię i dosłownie w ostatniej chwili, kiedy zamykano już drzwiczki, wskoczyłem do opuszczonego przeze mnie przed kwadrans samolotu. Tym razem w kabinie siedziało już kilku Amerykanów, którzy lecieli z Belo Horizonte do Brasílii, w zawrotnym tempie wybudowanego miasta w centrum kraju, które stało się stolicą państwa na skutek wysiłku i uporu jednego z ostatnich prezydentów Brazylii.

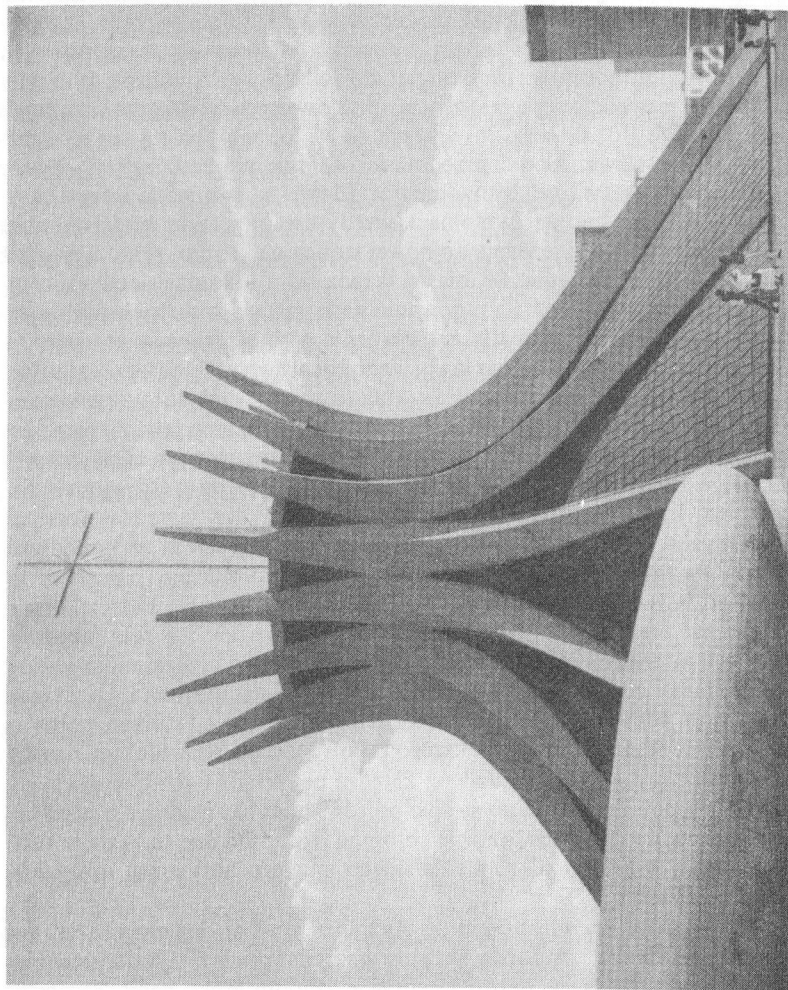
Belo Horizonte jest naprawdę bardzo piękne. Położone na pagórkach, pełne zieleni, składa się z nowoczesnego centrum podzielonego symetrycznie szerokimi ulicami, w którym stoi kilkanaście drapaczy chmur i reszty miasta złożonego z ogrodów i domków z czerwonymi dachami, porozrzucanych na pagórkach na dużej przestrzeni. Lotnisko leży niedaleko jeziora otoczonego wspaniałym utrzymanym parkiem pełnym kwiatów i palm, przeciętym szeroką autostradą.

Nad Brazylią leciałem już raz w drodze z Nowego Jorku do Rio. Lecieliśmy wtedy bardzo wysoko nad zupełnym pustkowiem, na którym nagle jak zagubiona na pustyni oaza, pojawiło się miasto ułożone w półkole. Teraz oddalając się od Belo Horizonte, ginęła za nami zieleń i krajobraz stawał się czerwono-żółty. Pustkowie przecinała tylko czasem jakaś idealnie prosta jak linijka wstęga szarżółtej drogi ginącej na horyzoncie, nie wiadomo skąd i dokąd prowadzącej, bo osiedli żadnych w zasięgu widoczności nie było. W końcu pod nami ukazało się jezioro i nad nim nowoczesne miasto. Nad samym jeziorem, po którym pływało kilka łódek murzyńskich rybaków, mieniła się jaskrawymi kolorami małych

domków murzyńska wioska, przypominająca „Favele” przyklepione do skał w centrum Rio de Janeiro.

Po wylądowaniu wsiałem do autobusu i pojechałem do centrum, aby stamtąd szukać dalszych połączeń i nadrobić stracony czas. Po drodze mijały nas samochody rządowe i wojskowe, które wskazywały wyraźnie na urzędniczy charakter miasta. Autobus jechał wspaniałą autostradą wśród pustych czerwonych pól, usianych kopcami termitów. Im bardziej zbliżaliśmy się do miasta, tym więcej ukazywało się trawników, pieczołowicie spryskiwanych wodą przez czarnych ogrodników. Widać było, ile wysiłku wkłada się w to, żeby na tej suchej i niegościnniej ziemi rosła trawa. Ale już przedmieścia Brasílii mię zaskoczyły. Zawsze słyszałem, że mieszkają tam tylko urzędnicy rządowi, że w mieście wszystkiego brak, nie ma wody bieżącej, że dyplomaci akredytowani w tym kraju nie chcą opuścić Rio de Janeiro i przyjeżdżają do nowej stolicy na krótko, tylko kiedy już nie mają innego wyjścia, w ogóle, że miasto składa się z kilkudziesięciu ekscentrycznych budynków rządowych i zbudowanie go kosztowało astronomiczne sumy wyrzucone na darmo, tylko dla zaspokojenia ambicji jednego prezydenta, który chciał przejść do historii swego kraju. Jednym słowem wyobrażałem sobie, że jest to pewnego rodzaju miasto duchów i tak to nawet wyglądało z powietrza, z wysokości 10000 metrów, kiedy po raz pierwszy nad nim leciałem. Tymczasem przedmieścia, przez które przejeżdżaliśmy wspaniałą zadrzewioną aleją, tętniły życiem wielkiego miasta. Mnóstwo sklepów z przyciągającymi oczy wystawami, kina, restauracje, biura prywatnych przedsiębiorstw, szyldy zarządów różnych fabryk i towarzystw, pełno ludzi spacerujących czy spieszących za swoimi interesami nadawały Brasílii charakter normalnego dużego miasta nie różniącego się swym życiem od innych stolic. Widząc to, zaczynałem wierzyć, że Brasílii, której budowę rozpoczął prezydent Juscelino Kubitschek w roku 1955 w celu rozwinięcia brazylijskiego interioru i rozładowania przeludnionego wybrzeża, może jednak spełni swoje zadanie. Ale najciekawsze wrażenie robi centrum miasta. Oszałamia nowoczesna stacja autobusowa z mechanicznymi schodami i tarasami pełnymi eleganckich sklepów i stoisk. Z największego tarasu rozciąga się widok na miasto. Widać ogromne bloki domów, przedziwną katedrę bez ścian i dachu, wyglądającą jak kosz złożony z powyginanych do środka prętów, budynki rządowe o niesamowitych nowoczesnych kształtach, dziwne ogromne figury ludzkie tu i tam poustawiane jak pomniki, wszystko to na tle dalekiego, pustego horyzontu robi jakieś wrażenie nie z tej planety.

Z Brasílii pojechałem autobusem do Anapolis, skąd pociągiem miałem już dotrzeć w poblizsze Palmelo. Autobus w typie amerykańskich Greyhoundów bardzo wygodny i nowoczesny, wypełnił się prawie samymi Murzynami. Szofer jechał po wspaniałej autostradzie jak szatan. Nie zwracając uwagi na żadne znaki drogowe, brał zakręty na gwizdających oponach dwóch kół. Jego jazda wywoływała entuzjazm wśród pasażerów, którzy dopingowali go okrzykami do zwiększenia już i tak brawurowej szybkości. Od czasu do czasu odwracał się tylko do swoich admiratorów nie zmniejszając szybkości i zadowolony, dumny szczyrzył do nich w szerokim uśmiechu białe błyszczące zęby. Droga prowadziła przez pustkowie przypominające busz południowo-afrykański. Od czasu do czasu mijaliśmy małe osiedla. Te znowu wyglądały jak miasteczka poszukiwaczy złota na amerykańskim Dzikim Zachodzie. Na horyzoncie zauważyłem kilka pożarów wi-



*Katedra w stolicy „Brasylia” (Fotogr. Inż. J. W. Juszczyk)*

docznych z daleka lasów. Gęsty dym piął się wysoko w czystym i nieruchomym powietrzu.

Po trzech godzinach takiej karkołomnej jazdy, z jedną tylko przerwą w małym miasteczku, gdzie zjadłem prawie całego świeżego ananasa, dojechaliśmy do Anapolis. Patrząc na rozkład jazdy zauważyłem ze zgrozą, że przyjechaliśmy bardzo punktualnie, czyli że szybkość autobusu, dobrze ponad 100 km na godzinę, musiała być z góry przewidziana.

Anapolis jest dość dużym miastem, które chyba od 50 lat niewiele zmieniło swe oblicze. Mieszkają tu Murzyni i Mulaci, handel wydaje się być w rękę Lewantyńczyków, którzy zresztą sprzedają ogromną tandetę. Pomimo długich poszukiwań nie znalazłem ani jednej restauracji, w której odważyłbym się zjeść obiad, a widok brudnego Murzyna w jednej z nich, pełnej much, polecanej jako najlepsza w mieście, wyciągającego ręką z garnka pełnego tłuszczu kotlety siekane i podającego je na dłoni swoim klientom przesądził o moim menu. Zadowolilem się pomarańczą i kilkoma bananami i poszedłem na stację. Jakiż ogromny kontrast daje się tu zauważyć na każdym kroku pomiędzy prymitywizmem i zacofaniem brazylijskiego interioru i duchem nowoczesnej Brasilii z wiodącą do niej siecią nowoczesnych autostrad!

O przejeździe pociągu przez Anapolis wie całe miasto. Jest to jedyny pociąg, który pojawia się w tych stronach i szczęśliwi mieszkańcy dzielnic, przez które przechodzi tor, już na pewno przynajmniej na kwadrans przed oznaczoną godziną ustawiają się wzdłuż szyn i czekają. Pociąg składający się z trzech wagonów, w tym jeden pierwszej klasy, gwizdże przeraźliwie, całe towarzystwo wzdłuż torów z zapamiętanym macha kapelusami i z pewnością zazdrości szczęśliwym pasażerom, którzy wiszą prawie na oknach przynajmniej połową swych ciał poza wagonem, zapewne aby znajomi czekający wzdłuż toru mogli ich dobrze zobaczyć. Ten sam proceder powtarza się zresztą przy przejeździe przez inne osiedla, których kilka mijaliśmy.

Słońce już zachodziło i powietrze nabierało fiołkowego koloru. Na horyzoncie widać było lasy, puste przestrzenie bliżej toru miały teraz kolor ciemnopomarańczowy. Wjeżdżaliśmy w okolice bardziej żyzne, wzdłuż toru ciągnęły się teraz zarośla i lasy palmowe, czasem przecięte jakąś doskonałą szosą. Tu dopiero widziało się, ile wysiłku włożono w podniesienie tej części kraju i zbliżenie się drogą tak odległej stolicy do gęściej zaludnionego wybrzeża. Z tablic wmurowanych na mijanych stacjach widać było, że i linia kolejowa otwarta została zaledwie dziesięć lat temu. Było już zupełnie ciemno, kiedy zatrzymaliśmy się na jakiejś małej stacji i zostaliśmy przesunięci na boczny tor. Po kilkunastu minutach nadjechał po naszym torze inny pociąg, który dołączono do naszego i teraz ruszyliśmy dalej o wiele bardziej okazałe, wyposażeni nawet w wagon restauracyjny. Skorzystałem z tego i poszedłem na kolację. Jedzenie było zupełnie dobre, ale szalenie trudno było z niego skorzystać. Pociąg jechał teraz bardzo szybko po wąskim torze, wagon restauracyjny znajdował się na samym jego końcu i rzucał tak niemiłosiernie, że jedzenie rozsypywało się po całym stole, a trafienie widelcem do ust było nie lada sztuką.

Było już po północy, kiedy pociąg zatrzymał się w Pires do Rio, u celu tego etapu mojej podróży. Miasto to nie różniło się wiele od Anapolis, było może mniejsze i mniej ruchliwe. Na stacji wsiadłem w jednokonną „taksówkę” i kaza-

łem się zawieść do najlepszego hotelu. W mieście były w ogóle tylko dwa hotele i kiedy zapytałem zaspanego portiera, czy mają pokoje z łazienką, miałem wrażenie, że nie zupełnie rozumie o co mi chodzi. Dopiero kiedy pokazał mi pokoje, zorientowałem się, że nie tylko nie ma w tym hotelu pokoi z łazienkami, ale w ogóle nie ma łazienek. Na korytarzu zauważyłem przy świetle świecy (elektryczność nie działa już w hotelu o tej porze) jakąś miednicę pełną starych zardzewiałych żyletek, a „pokój” okazał się komórką z wybitym oknem (zalepionym kawałkiem gazety), szafą z wyłamanymi drzwiami i łóżkiem i pościelą nie zmieniającą już od kilku tygodni. Kazałem obudzić się wpół do szóstej rano, gdyż o szóstej miałem wsiąść w autobus odjeżdżający do Palmelo i zasnąłem siedząc na krześle.

Obudziłem się już koło piątej rano, przekonany że siedzę w kurniku. Tuż za oknem darł się przeraźliwie cały tabun obdzieranych chyba żywcem ze skóry kogutów. Obsługa hotelu, czyli mój czarny portier, który wieczorem mnie przyjął, też już nie spał i coś pitrasił w kuchni, na rozpalonym na środku izby ognisku. Wypiłem filiżankę czarnej kawy i poszedłem na miasto. O parę kroków przy tej samej ulicy zobaczyłem drugi hotel tego miasta. Po pobieżnych oględzinach doszedłem jednak do wniosku, że mój hotel „Royal” był niewątpliwie najlepszym hotelem w mieście.

Świtało, kiedy wyjeżdżaliśmy autobusem za miasto i było już zupełnie jasno, gdy po pół godziny później ukazało się przed nami Palmelo. Zjeżdżaliśmy w dół drogą, która prowadziła na sąsiedni pagórek, na którym leżała wśród drzew duża wieś. Autobus zatrzymał się przed hotelem „Globo”.



*Mieszkańcy wioski zapowiadający „Festival”.  
(Fotogr. Inż. J.W.Juszczak)*

Dziś, kiedy minęły już trzy tygodnie od mojego powrotu do Buenos Aires, trudno mi jeszcze zapomnieć tę dziwną atmosferę, która panuje w Palmelo. Jakiś dziwny spokój, bez troska i serdeczność. Może wrażenie to spotęgował fakt, że niecałe 48 godzin przedtem byłem jeszcze w Buenos Aires, jednym z najbardziej nerwowych miast świata i znalazłem się nagle w spokojnej i cichej wsi należącej do zabitego deskami świata, a może rzeczywiście Palmelo ma w sobie coś nieuchwytnego, co tak długo i tak wyraźnie się pamięta? Po powrocie do Buenos Aires zainteresowałem się bliżej tą sprawą i zauważyłem, że wszystkie opisy wizyt w Palmelo to wrażenie wysuwają na pierwszy plan. Już właściciel hotelu „Globo”, Walter de Oliveira, przyjął mnie z wylewną serdecznością, kazał przynieść śniadanie i obiecał, że sam mnie zaraz oprowadzi po całym Palmelo i oczywiście zaprowadzi mnie do Don Jeronimo Candinho Gomide, któremu muszę złożyć wizytę. Don Jeronimo nosi tytuł prezydenta Palmelo, czyli jak się potem okazało, jest kimś pomiędzy burmistrzem i biskupem. Zresztą Don Jeronimo miał teraz właśnie być w hotelu, ale ponieważ będzie obchodził razem z mediami chorych, więc teraz nie będzie można z nim rozmawiać. Zresztą mój gospodarz, właściciel hotelu też okazał się medium. Cekał właśnie na wizytację. Rzeczywiście po chwili na placu przed hotelem ukazała się mała grupka osób. Na przodzie kroczył starszy pan, za nim kilku mężczyzn i jedna kobieta z pochylonymi do ziemi głowami. Przeszli koło nas nie witając się z nikim i zniknęli w jednym z korytarzy hotelu. Obeszli kilka pokoi, po czym wszyscy razem bez słowa wyszli na plac i skręcili w boczną ulicę. Mój gospodarz dołączył do nich wraz z żoną.

Teraz do hotelu nadszedł wysoki i tęgi mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie typowego Włocha. Przywitał się ze mną bardzo uprzejmie i przedstawił się. Był to profesor Bortelo Damo. Nie wiedziałem w pierwszej chwili, że stoi przede mną jedna z najciekawszych postaci Palmelo. Profesor Damo doktor dwóch fakultetów (ale nie medycyny). Osiedlił się w Palmelo, zorientowawszy się, że dysponuje jakimiś nadprzyrodzonymi siłami. Objął mnie, że Don Jeronimo (on to szedł na czele grupy, która niedawno była w hotelu) codziennie rano obchodzi wszystkich chorych i razem z mediami robi to, co się u nich nazywa „Pases”. Polega to na absolutnym skupieniu i przesuwaniu rękami nad obolałym miejscem pacjenta. Jest to jeden ze sposobów leczenia w Palmelo. Tego rodzaju „Pases” powtarzane przez kilka dni przeważnie przywracają pacjentowi zdrowie. Ale czasem nie wystarczają. Już po powrocie do Buenos Aires czytałem oficjalne sprawozdanie człowieka, którego wyleczono w Palmelo. Po przyjeździe do Palmelo postawiono go przed „komisją” jasnowidzów i zapytano na czym polegają jego niedomagania. Jedno z mediów zapytało go, czy lewa nerka mu nie dokucza? Odpowiedział, że nie. Zdecydowano jednak, że tam leży źródło jego choroby i postanowiono . . . operować. Pacjent przestraszył się, ale wnet go uspokojono, że nie wchodzi w grę operacja w sensie chirurgicznym. Po obiedzie tego samego dnia kazano mu się położyć do łóżka w hotelu i dwa media (jedno z nich prof. Damo) zaczęły nad nim na głos modlić się i jakby wpadać w trans. Potem zaczęli nad nim poruszać rękami najpierw nad całym ciałem, potem w okolicy nerki wykonując tym razem szybkie ruchy kołowe i w końcu nad czołem, w miejscu, gdzie odczuwał bóle sinusitis. Trwało to kilkanaście minut, przy czym zauważył, że obydwa „chirurgi” byli bardzo zmęczeni. Po skończonej operacji, która jak mu powiedziano, doskonale się powiodła, przeszedł przez nich jakby silny dresz-

cz, po czym wyszli z pokoju, przykazując mu leżeć bez ruchu przez 12 godzin. Teraz nastąpiły silne bóle pooperacyjne w okolicy nerki i żołądka, oraz duża opuchlizna. Następnego dnia zauważył, że moczu miał kolor ciemno-brązowy. Po trzech dniach bóle zaczęły ustępować, wszystko wróciło do normy i wszelkie dolegliwości zniknęły. Sprawozdanie to pisane było w kilka miesięcy po „operacji”. Słyszałem też o podobnych operacjach wyrostka robaczkowego, tumorów (wrzodów) i innych. W każdym wypadku organizm wydalał drogą naturalną operowane części.

Profesor Damo pytał mnie o różnych swoich przyjaciół z Buenos Aires, których przypadkiem znałem. Cóż, Buenos Aires nie jest znów takie wielkie. Wszystkiego razem coś ponad dwa i pół miliona mieszkańców. Potem się pożegnał prosząc, żeby kiedyś przyjechać na dłużej i poszedł do szkoły, gdzie miał wykładać. Zrobił na mnie wrażenie bardzo skromnego, prostego i nawet nieśmiałego człowieka. O tym, co się dzieje w Palmelo nie bardzo chciał mówić, a te parę słów, które z niego wyciągnąłem, podane były tak prosto i naturalnie, jakby chodziło o coś zupełnie normalnego, codziennego, o czym nie warto nawet mówić.

Teraz wrócił do hotelu Walter de Oliveira i od razu mówiąc mi brazylijskim zwyczajem po imieniu, powiedział, że Don Jeronimo prosi mnie do siebie.

Don Jeronimo mieszka w małym domu w ogrodzie przy ulicy, która prowadzi do założonego przez niego sanatorium „Euripedes Barsanulfo”. Przyszliśmy trochę za wcześnie i zatrzymaliśmy się na ganku. Wewnątrz siedział w fotelu Don Jeronimo a przed nim stał jakiś młody człowiek. Don Jeronimo trzymał go za rękę, jakby badając puls i coś szeptał. W końcu powiedział mu, że musi wrócić następnego dnia, po czym pożegnał go, podniósł się z fotela i zaprosił nas do środka. Przywitał mnie z typową serdecznością Palmelo, miałem wrażenie, że znamy się od bardzo dawna i że Don Jeronimo jest bardzo szczęśliwy, że nareszcie wróciłem do Palmelo po długiej nieobecności. Od razu postanowił oprowadzić mnie po różnych instytucjach Palmelo, z których jest ogromnie dumny.

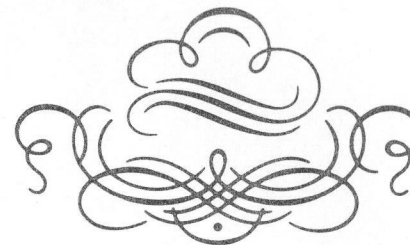
W Palmelo istnieje założony przez spirytystów ich własny kościół, czyli budynek, w którym zbierają się co wieczór, śpiewają psalmy i czytają Pismo Święte, szkoła i sanatorium dla wariatów. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że za leczenie nie przyjmują żadnych pieniędzy i utrzymują się tylko z tego co sami zdołają wyprodukować, bardzo skromnego handlu i chałupniczych wyrobów produkowanych głównie na własny użytek oraz z bardzo skromnej jałmużny, o ile komuś wpadnie do głowy dać im na jakiś cel parę groszy, to trzeba przyznać, że mieszkańcy Palmelo, którzy postawili sobie, za cel pomagać bliźnim będącym w potrzebie, mają pełne prawo do dumy ze swoich osiągnięć. Widziałem, że robiłem wielką przyjemność moim gospodarzom, zachwycając się instytucjami, po których mnie oprowadzali. Radość swoją starali się zresztą ukryć, przekonując mnie, że nie robią nic nadzwyczajnego i że każdy na ich miejscu robiłby to samo. Dowiedziałem się, że Palmelo liczy około 2000 mieszkańców, w tym tylko dwie rodziny katolickie a reszta to spirytyści. Tak rozmawiając doszliśmy do sanatorium. Na nasze spotkanie wyszedł dyrektor szpitala i zaprosił nas do wewnątrz. Objąsnił mi, że przywożą tu codziennie po kilku wariatów, z których niektórzy są w stanie niebezpiecznym i muszą przebywać ze związanymi rękami i nogami. Ci ostatni trafiają do specjalnych cel, które w sanatorium nazywa się więzieniem.

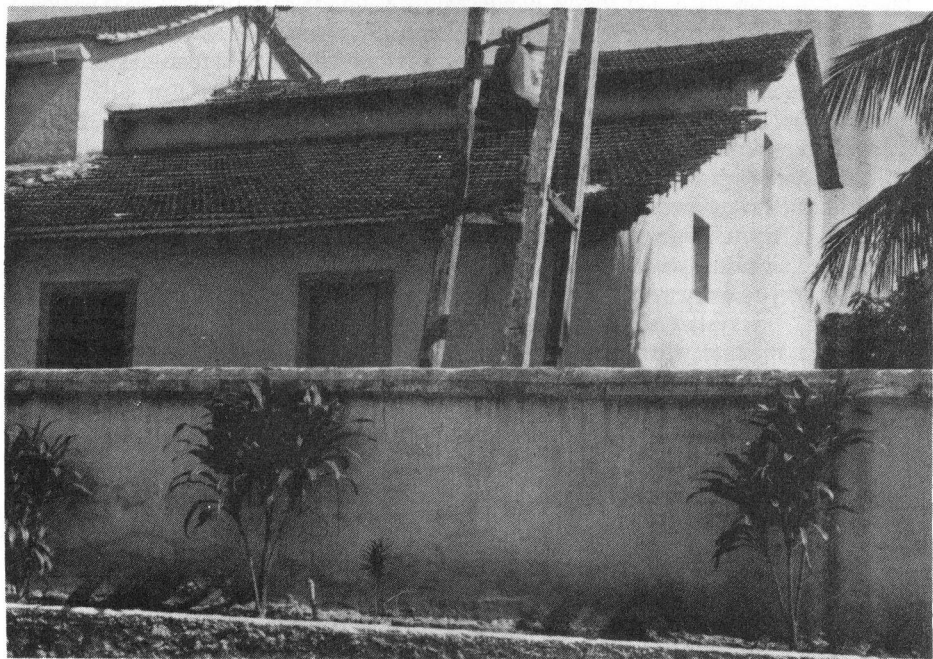
Tymi w pierwszym rzędzie zajmują się spirytyści, poddając ich działaniu swych magnetycznych sił. Po kilku czy kilkunastu dniach przenoszą ich do drugiego działu, gdzie już biorą udział w zebraniach ogólnych z innymi pacjentami, po czym po kilku tygodniach zwalniamy ich z sanatorium i odsyłają do domów. Zapytałem, czy mają dużo wypadków nieuleczalnych, odpowiedziano mi, że zaledwie kilka na rok. Zaproszony przez dyrektora sanatorium odwiedziłem dział męski i żeński. Niektórzy chorzy nawiązywali ze mną rozmowę i poza bardzo nielicznymi wyjątkami robili wrażenie ludzi zupełnie normalnych.

Zbliżał się czas odjazdu mojego autobusu. Z żalem żegnałem Palmelo, dziwną wieść dobrych ludzi.

Po sześciu godzinach jazdy dojechałem do Goiania, stolicy prowincji Goias. Tutaj musiałem nawiązać kontakt z biurem podróży, które miało zająć się moimi pasażerami, wybierającymi się do Palmelo. W czasie rozmowy z dyrektorką biura do agencji wszedł uśmiechnięty młody człowiek. Zauważyłem zdziwienie na twarzy mojej rozmówczyni, kiedy zapytała go, jak mu poszło? - Wspaniale - odpowiedział - wszystko minęło. - Jak długo był pan w Palmelo? - zapytała. - Jeden dzień. Wystarczyły dwa „Pases”. Młody człowiek pożegnał się i wyszedł. Teraz dyrektorka zwróciła się do mnie. - No, widzi pan - powiedziała - Był tu trzy dni temu i siedział w tym samym fotelu, w którym pan teraz siedzi. Skręcał się z bólu. Od miesiąca cierpiał całymi dniami i nocami na nieustanne bóle głowy. Lekarze w Rio i w San Paulo nie byli w stanie mu poradzić, próbowali różnych środków nadaremnie. Widzi pan, jak wygląda po jednym dniu w Palmelo.

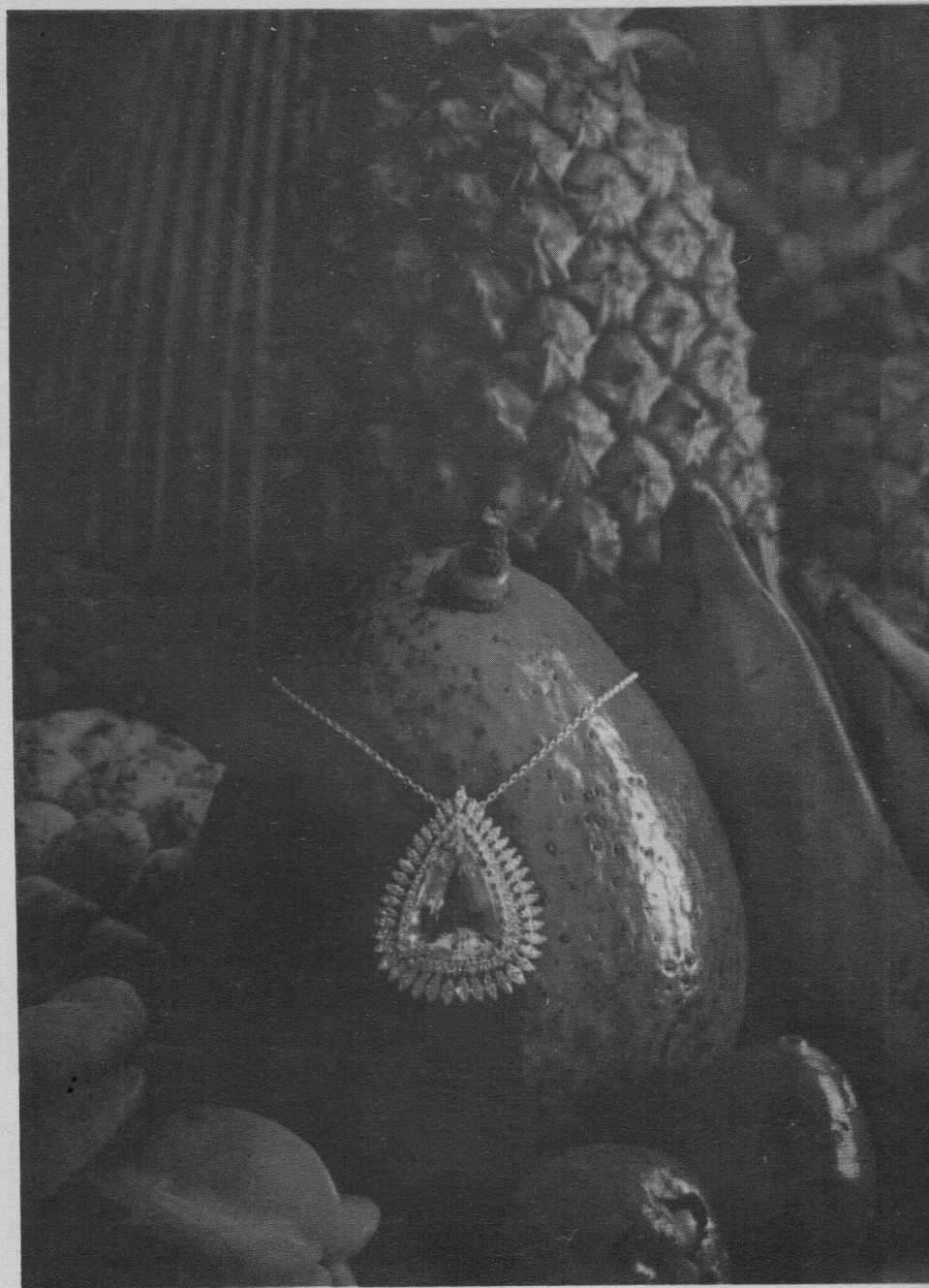
Następnego dnia odlatywałem z Goiania do San Paulo, by stamtąd lecieć dalej do Buenos Aires. Siedziałem już w małym brazylijskim samolocie i spodziewałem się, że lada chwila wystartujemy. Nagle z tyłu kabiny rozległo się kilka mocnych uderzeń czy trzasków i głos stewarda wołającego coś do pilota: - „Comandante! A porta nao cecha!” i znowu kilka energicznych uderzeń. Z kabiny pilota wyszedł Brazylijczyk ozdobiony na rękawach licznymi złotymi lampasami. - „Paciencia” - mruknął sunąc przez kabinę i dzierżąc w rękach gruby sznur. Problem nie zamykających się drzwi samolotu został wkrótce rozwiązany (ściślej mówiąc - zawiązany), po czym wystartowaliśmy bez dalszych przeszkód w drogę. Poza innymi zaletami czarujący Brazylijczycy mają jeszcze i tę jedną, polegającą na prostych, domowych rozwiązaniach problemów nastroczanych przez życie.





*Typowy widok wioski w Goiás (Fotogr. Inż. J.W. Juszczyk)*





DRUKARNIA POLSKA: POW-POL ENTERPRISES Co. (O.Z. Hulacki)  
15 Nottingham Rd, Wandsworth Common, London SW17 7EA (Tel.01-672 0573)